MAGAZYN

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

19 lat

Nr 69 (2580)
Cena **7,00 zł**
(w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081
Nr indeksu 349-682

Piątek–niedziela, 28–30.08.2026

www.i.pl

Cyfrowy detoks w szkole

– Str. 12–13



TELEMAGAZYN

- „Cmentarzysko”. Nowy serial z Turcji
- „Norymberga”. Russel Crowe jako Göring

AFERA ZONDACRYPTO ZATACZA CORAZ SZERSZE KRĘGI

– Str. 5–7

SZCZERA SPOWIEDŹ BYŁEGO WICEMINISTRA PIOTRA WAWRZYKA

– Str. 8–9

Krzyżówka / Sport / Z życia Warszawy

BT

9 771898 308059 35

eprasa.pl 5b705b0441

Na okładce



BT

Nowy rok szkolny na cyfrowym detoksie. O tym, że młodzi ludzie są coraz bardziej uzależnieni od internetu i mediów społecznościowych, wiemy od dawna, świadczy o tym także ostatni raport CBOS

s.5

Ten tydzień stał pod znakiem wielkiej afery Zondacrypto. W tle zatrzymanie prezesa PKOl

s.8

Szczera spowiedź Piotra Wawrzyka: To była pseudoafera, pluli na mnie na ulicy

s.10

Cel Kremla jest jasny: za pomocą dezinformacji siać chaos i zamęt w Unii Europejskiej, skłócić Polskę z sąsiadami. Z Ukraińcami próbują nas poróżnić od lat. Wygląda na to, że teraz przyszedł czas na Czechy

s.20

Marika: Artyści są po to, żeby ocalać i opisywać to, co najbardziej ludzkie

s.24

Dlaczego najdroższe śniadania są w poznańskich restauracjach? Jak w ogóle funkcjonują knajpy?

WARSZAWA STR. 30
SPORT STR. 31

Piotr Wawrzyk
Były wiceminister spraw zagranicznych w rządzie Prawa i Sprawiedliwości. Po aferze wizowej zajmuje się blogowaniem.





Marika
Zaczynała od muzyki reggae, potem śpiewała nowoczesny soul. W końcu zrobiła sobie urlop macierzyński, bo urodziła bliźniaki.

FOT. ADAM JANKOWSKI, ŁUKASZ LANGDA

POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Misjonarz i potomkowie ludożerców

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

28.08.2026. Dzień dobry

Obyśmy żyli w nieciekawych czasach

To był tydzień pełen ważnych wydarzeń. Nawet trudno zdecydować, które z nich będzie miał długofalowe skutki. Z pewnością najbardziej intrygującym zdarzeniem była tajemnicza wizyta dyrektora CIA Johna Ratcliffe'a w Moskwie. Zwłaszcza, że poprzednia – jeszcze za kadencji Joe Bidena – miała miejsce kilka miesięcy przed rosyjską agresją na Ukrainę. I jak się powszechnie uważa, była sygnałem ostrzegawczym przed tym atakiem. Wtedy, jesienią 2021 r., szef CIA Bill Burns spotkał się z Władimirem Putinem.

Dlatego teraz nie ustają spekulacje na temat przyczyn tej wizyty. Na razie wiadomo, że John Ratcliffe nie spotkał się z prezydentem Rosji, ale z szefem rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego (SWR) Siergiejem Naryszkinem. O czym rozmawiali – nie informowano.

Eksperci z różnych krajów nie mają jednak wątpliwości – Putin coś knuje i zostało mu przekazane ostrzeżenie. Najczęściej powtarzaną tezą jest ta, że mimo wojny w Ukrainie Federacja Rosyjska planuje dokonać jakiegoś rodzaju (mniejszej lub większej) agresji na państwa bałtyckie. Przede wszystkim po to, by przetestować jedność NATO. Coś w tym jest, bo najnowsze koreańskie czołgi K2 zostały niemal od razu wysłane do Braniewa, gdzie stacjonuje 9. BrygadaKawalerii Pancernej z 16. Dywizji Zmechanizowanej. Tuż przy granicy z obwodem kaliningradzkim.

A w ubiegłym tygodniu nad Polską i Bałtykiem pojawiło się niemal jednocześnie ok. 50 natowskich samolotów z różnych krajów, w tym Polski, choć nikt nie zapowiadał żadnych oficjalnych ćwiczeń na niebie. Eksperci uznali, że był to pokaz siły, jakiego dotąd w tej części Europy nie było.

Jeszcze nie tak dawno powiedzenie „obyś żył w ciekawych czasach" traktowane było jak leciutki żart. Ale dziś te słowa brzmią tak, jak we właściwym kontekście, gdy pod koniec XIX wieku wypowiadał je brytyjski polityk Joseph Chamberlain, ojciec późniejszego premiera Neville'a Chamberlaina. Tak, tego samego, który prowadził łagodną politykę wobec hitlerowskich Niemiec i podpisał układ monachijski w 1938 r.

A być może wiele państw Europy i świata prowadzi obecnie zbyt miękką politykę wobec Rosji, której nie mogą wykończyć sankcje. Znacznie więcej szkód czynią jej ukraińskie drony, które spadają na rafinerie lub magazyny towarów. Deficyt popularnej benzyny 95 jest tak duży, że można ją kupić tylko na 20 proc. stacji w Rosji. Są całe regiony, gdzie jej w ogóle nie ma.

Ale Putinowi zdaje się to w niczym nie przeszkadzać, Rosja po jesiennych wyborach szykuje się do kolejnej fali mobilizacji. Ci bogatsi młodzi mężczyźni wyjeżdżają – do Gruzji czy Armenii. Na granicach tworzą się korki.

Ale wiadomo, że wszyscy nie wyjadą, a jak ujawnia ukraiński wywiad, moblizacja szykowana na koniec 2026 i cały 2027 rok, ma dotyczyć nawet 600 tys. osób.

Cały proces rozpocznie się tuż po wyborach do Dumy, które zaplanowano na 18–20 września bieżącego roku.

W obliczu sytuacji wewnętrznej w Rosji mobilizacja ponad pół miliona osób wydaje się to być misją samobójczą, ale Putin nie rezygnuje ze swych celów, choć nawet wysokie kontrakty nie wystarczają, by przyciągać do armii FR biednych ludzi z tzw. głubinki, gdzie nie ma innych miejsc pracy, a jeden człowiek na wojnie jest w stanie utrzymać całą rodzinę.

A mimo to na razie nikt w Rosji nie chce się sprzeciwić władzy. Czy ten moment kiedyś nastąpi?

ARLENA SOKALSKA
red. nacz. „Polski"



ZESKANUJ KOD

- Wiadomości z kraju i ze świata znajdziesz na **i.pl**
- Jesteśmy obecni w 20 największych polskich miastach
- Treści regionalne łączymy z publicystyką, a także materiałami wideo

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

eprasa.pl 5b705b0441

Z czego jutro ...? Fałszywy bożek potrzeb budżetu, czyli jak zatrzymać zegar długu?

Od dekad nasila się zacięta walka wśród mainstreamowych i nowo powstających partii władzy o bycie w prostej linii „prawowitym" spadkobiercą dziedzictwa peerelowskiego socjalizmu, który coraz trudniej sfinansować z drenowania obecnego quasikapitalizmu. Po kolejnych dekadach od niedokończonej cały czas transformacji ustrojowej, a zwłaszcza systemu instytucjonalnego państwa, mamy system gospodarczy, który zachowuje fasadowe, formalne atrybuty kapitalizmu jak własność prywatną, ceny rynkowe - ale już nie pracy, bo ustalają ją rządy - czy giełdę z coraz mniejszą liczbą notowanych spółek oraz z formalną konkurencją. Jednak quasikapitalizm w swojej istocie nie działa już według reguł wolnego rynku, bowiem w rzeczywistości jest pozbawiony jego kluczowych fundamentów, takich jak w pełni wolny rynek, uczciwa konkurencja czy autentyczna ochrona własności prywatnej i praw obywatelskich przez rzeczywiście chroniący je wymiar sprawiedliwości. W obecnym systemie, jakimkolwiek terminem nie spróbowalibyśmy go określić, mechanizmy rynkowe są zniekształcone przez silną ingerencję rządu, oligopole jak w energetyce oraz nieformalne układy polityczno-biznesowe. Ranking wolności gospodarczej na świecie Instytutu Frasera i również Centrum im. Adama Smitha matematycznie wskazuje, jak Polska latami oddala się coraz bardziej od wolności gospodarczej z roku 1988 i tym samym od tradycyjnego kapitalizmu, który zbudowany jest na pracy, przedsiębiorczości i oszczędności oraz moralności.

W obecnym systemie przedsiębiorcy zamiast konkurować jakością, ceną i uczciwością inwestują wysiłek w zdobywanie przywilejów regulacyjnych czy podatkowych jak w przypadku niższego opodatkowania VAT wody kolorowanej niż zdrowszej zwykłej oraz dotacji i w tworzenie barier wejścia dla konkurencji. W takim systemie „politycznej hiperaktywności wydatkowej" prorozwojowe inwestycje zamieniają się w finansowanie konsumpcji dóbr luksusowych dla wybranych. Trwająca od dekad „reglamentacja kapitalizmu", w której nawet akcja „deregulacja" posłużyła do zwiększenia przedsiębiorcom per saldo nowych przepisów i obowiązków umacnia quasikapitalizm będący w istocie formą etatyzmu ukrytą za rynkową fasadą. Narastają patologie wynikające z coraz dotkliwszego braku wolnokonkurencyjnego kapitalizmu niezbędnego dla utrzymania dobrostanu społecznego. Konsekwencją reglamentacji kapitalizmu są nierówności wynikające z przede wszystkim z przywilejów nadawanych przez władze grupom interesów, za które obarcza się niesłusznie „kapitalizm" jako taki, podczas gdy są to skutki interwencji rządzących w konstytucyjne gwarancje równości wobec prawa. W ostatnich dekadach rządzący i ich aparat nieustannie rozwija działania wewnątrz własnego systemu wartości, który jest w powszechnie dostrzegalnej kolizji z tym praktykowanym w samym społeczeństwie. Przykładem są m.in. zuchwałe dotacje, które zamiast trafić do poszkodowanych w czasie powodzi zostały przez lokalną egzekutywę przyznane samej sobie.

Czy w sytuacji codziennie już podawanych przypadków tzw. wydatków publicznych pozbawionych sensu, ale też uczciwie wątpliwych proponowanie wyższych podatków obywatelom, nie tylko przedsiębiorcom ma uzasadnienie moralne? W Polsce władza tworzy bałwochwalczą religię w nawiązaniu do biblijnego kultu złotego cielca, którego miejsce zastąpiono potrzebami budżetu państwa i finansów publicznych. Politycy i urzędnicy jak mantrę powtarzają obywatelom o konieczności składania coraz większych danin bożkowi budżetu, który nieustająco jest w kryzysie. Za kultem budżetu potrzebującego coraz większych pieniędzy obywateli stoi sekta urzędników państwowych będąca wyznawcami „arkusza kalkulacyjnego", który jest stawiany przed obliczem każdego ministra finansów i przed komisjami parlamentarnymi jak święta relikwia. W jej obliczu nikt nie stawia oporu, bowiem jest ona ucieleśnieniem niezbitych dowodów za zwiększaniem podatków wynikających z powiązania kolumny, w której wpisuje się wyższą ich stawkę, z kolumną wskazującą na automatyczny wzrost wpływów budżetowych. Działanie sekty wprowadza decydentów politycznych w błąd, bo dość szybko okazuje się, że na drodze do uzyskania 100% wpływów widniejących w arkuszu stoi niejaka „krzywa Laffera". Mimo życiowo przegranej z nią konfrontacji - na podstawie tegoż arkusza mającego status relikwii, podejmowane są kolejne decyzje podwyższające opodatkowanie, czego nie przykryje żadna biurokratyczna nowomowa o korzyściach i koniecznościach, podobnie jak miało to miejsce przy ordynowaniu tzw. polskiego ładu.

Na dniach opuścił areszt prezes deweloperskiej grupy inwestycyjnej, któremu postawiono zarzuty doprowadzenia do niekorzystnego rozporządzenia mieniem na łączną kwotę co najmniej 613 milionów złotych. W kodeksie wyborczym powinny znaleźć się analogiczne przepisy, na podstawie których można byłoby politykom stawiać zarzuty doprowadzenia osób do niekorzystnego rozporządzenia własnym głosem w wyborach, czy wręcz wyłudzenia tego głosu poprzez celowe wprowadzanie ich w błąd co do uczciwości składanych propozycji zwłaszcza w kwestii wysokości podatków.

ANDRZEJ SADOWSKI
założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989.



REKLAMA 0011538281



eprasa.pl 5b705b0441

CO ZA TYDZIEŃ

Przygotował **AGATON KOZIŃSKI**
zastępca redaktora naczelnego
„Polski Metropolii Warszawskiej”



24.08 PONIEDZIAŁEK

W zakładach MESKO podpisano umowę ramową dotyczącą dostawy kilku tysięcy przeciwlotniczych zestawów Piorun dla Wojska Polskiego, a także sił zbrojnych Litwy, Łotwy i Norwegii.

Minister Kosiniak-Kamysz podał, że całość umowy – która finansowana będzie ze środków z programu SAFE – opiewa na ok. 8 mld zł; zapewnił też, że na umowę wykonawczą nie trzeba będzie czekać dłużej niż kilkanaście dni.



25.08 WTOREK

Przylot amerykańskiego samolotu wojskowego do Moskwy we wtorek wywołał falę spekulacji. Media przekazały, że na pokładzie był szef CIA John Ratcliffe, co wywołało dalszy chaos informacyjny. Brak oficjalnych komunikatów stworzył lukę, szybko wykorzystaną do szerzenia dezinformacji.

Prezydent USA Donald Trump powiedział potem, że wizyta szefa CIA w Moskwie była „w pewnym sensie rutynowa” i ocenił, że „może coś z niej wyniknąć”. Zaprzeczył też, by jej przyczyną były pogłoski o sprawdzaniu przez Putina determinacji NATO lub sprawa nowych amerykańskich sankcji wobec Iranu. To jednak wcale nie ucięło spekulacji, wprost przeciwnie, pojawiło się ich jeszcze więcej.

26.08 ŚRODA

W dniu wizyty w Moskwie dyrektora CIA Johna Ratcliffe’a prezydent Władimir Putin podpisał szereg dekretów, w tym trzy tajne. W tym samym czasie co Ratcliffe, w Moskwie przebywał sekretarz Watykanu ds. międzynarodowych Paul Richard Gallagher, który rozmawiał z Siergiejem Ławrowem, szefem MSZ Rosji.



27.08 CZWARTEK

Rząd przedstawi kolejne projekty dotyczące ustawy o kryptoaktywach.

– Uregulowanie rynku kryptoaktywów jest w interesie każdego Polaka – przekazał minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski. Zastanawiał się też, czy prezydent Karol Nawrocki „w końcu zrozumie, że chroni przestępców, wetując ustawę o kryptoaktywach”. – Nie wiem. Ale mam nadzieję, że roztropność w Pałacu Prezydenckim też nadchodzi – mówił Gawkowski podczas spotkania z dziennikarzami.



24.08 PONIEDZIAŁEK

Zmarł gen. Mirosław Różański – senator obecnej kadencji, b. dowódca generalny RSZ. – Był to człowiek odważny i uczciwy – podkreśliła marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska.

Gen. Różański zmarł w nocy z niedzieli na poniedziałek. Miał 63 lata. Od kilku lat zmagał się z chorobą nowotworową. Wicepremier, szef MSZ Radosław Sikorski napisał na X, że odszedł „żołnierz, senator, patriota”.

MARK SCHIEFELBEIN/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS, PAP/EPA. PAP

24.08 PONIEDZIAŁEK

– Życzę, żebyście weszli do NATO i Unii Europejskiej; żeby nikt nigdy nie dał się podzielić Polakom i Ukraińcom – powiedział minister sprawiedliwości Waldemar Żurek podczas obchodów Dnia Niepodległości Ukrainy w Warszawie. W wydarzeniu wzięło udział 29 dyplomatów i setki Polaków i Ukraińców. W czasie uroczystości minutą ciszy uczczono pamięć tych, którzy zginęli w wyniku rosyjskiej agresji. Transparenty z imionami i nazwiskami niektórych z nich wznieśli na placu uczestnicy obchodów.





26.08 ŚRODA

Gwałtowna powódź spustoszyła Nepal. Do katastrofy doszło w środę rano w tybetańskim powiecie Gyirong, bezpośrednio przy granicy z Nepalem. Analiza zdjęć satelitarnych Planet Labs wskazuje na to, że tragedię bezpośrednio poprzedziło oberwanie się potężnego masywu lodowego. Osuwisko wywołało wstrząs sejsmiczny o magnitudzie 5,2 oraz doprowadziło do gwałtownych powodzi niosących gruz, które spłynęły dolinami.

27.08 CZWARTEK

Prezes PKOl Radosław Piesiewicz został zatrzymany w ramach śledztwa ws. Zondacrypto.

Insp. Katarzyna Nowak z Komendy Głównej Policji przekazała w Polsat News, że zatrzymanie Radosława Piesiewicza przeprowadzili policjanci Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości i obecnie prowadzone są czynności procesowe z tym związane, m.in. sporządzane są protokoły. – Dalszym etapem będzie doprowadzenie do prokuratury – zapowiedziała funkcjonariuszka. Poinformowała, że zatrzymanie przebiegło „bardzo spokojnie”, bez konieczności udziału kontrterrorystów.

eprasa.pl 5b705b0441

POLITYKA

Afera Zondacrypto. Czy Przemysław Kral pogrąży polską prawicę?

Kolejne osoby uwikłane w dziwne zależności, drogie prezenty dla prezesa PKOI, rozmowy polityków Prawa i Sprawiedliwości z Przemysławem Kralem, szefem giełdy krytowalut. W tle wielkie pieniądze i tysiące oszukanych ludzi. Ponoć Kral poszedł na współpracę ze śledczymi, chce mówić i nie jest to dobra wiadomość dla obozu prawicy

Dorota Kowalska

Ten tydzień stał pod znakiem wielkiej afery Zondacrypto. O tym, że będzie ona zataczała coraz szersze kręgi mówiło się od dawna, ale nie wszyscy przypuszczali, że tak szybko dowiemy się o drogich prezentach, dziwnych układach i tajnych spotkaniach na styku polityki i biznesu.

Kral i status małego świadka

Pierwsza rzecz, chyba najważniejsza: dziennikarka TVP Info Dorota Wysocka-Schnepf ustaliła, że Przemysław Kral, założyciel upadłej giełdy kryptoaktywów Zondacrypto, otrzymał status małego świadka koronnego i współpracuje z prokuraturą. Od wiosny tego roku ma składać obszerne wyjaśnienia w śledztwie dotyczącym firmy, której szefował.

Podobne informacje podał Andrzej Stankiewicz i Jacek Harłukowicz, dziennikarze Onetu. Redakcja sugeruje, że Kral poszedł na współpracę z prokuraturą, bo liczy na nadzwyczajne złagodzenie kary.

- Słyszałem z bliskiego otoczenia Przemysława Krala, że zbliżające się miesiące będą czasem publikacji wielu dokumentów - stwierdził Jacek Harłukowicz.

Dlaczego to, co powie prokuraturze Kral, będzie tak ważne politycznie?

- Wszyscy o tym przecież doskonale wiemy, że Zondacrypto bardzo mocno była zaangażowana w różnego rodzaju inicjatywy i wydarzenia polityczne, żeby przypomnieć tylko głośną, organizowaną z bardzo dużą pompą konferencję CPAC, czyli konferencję środowisk prawicowych, która w maju ubiegłego roku, dosłownie kilka dni przed drugą turą wyborów prezydenckich została zorganizowana w Jasionce pod Rzeszowem - zwraca uwagę dziennikarz.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Prezes PKOl miał dostać od szefa Zondacrypto Przemysława Krala m.in. zegarek Patek Philippe wart 40 tysięcy euro

eprasa.pl 5b705b0441

POLITYKA

Ale związków Przemysława Krala z polityką jest znacznie więcej, o tym jednak później. Tak czy inaczej zeznania szefa Zondacrypto mogą mocno obciążyć obóz polskiej prawicy.

Sprawa druga: Michał Fuja z „Superwizjera" TVN24 i Szymon Jadczak z Wirtualnej Polski podali, że prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz, łączony z Prawem i Sprawiedliwością, dostał od Przemysława Krala zegarek Patek Philippe wart 40 tysięcy euro oraz inne prezenty. Za co? Za „załatwienie" problemów giełdy kryptowalut z Urzędem Ochrony Konkurencji i Konsumentów (UOKiK). Urząd wysłał w 2025 roku do spółek grupy Zondacrypto osiem pism. Pytał o reklamy giełdy i przepływy finansowe. Według źródeł serwisu Piesiewicz miał deklarować Kralowi, że „załatwi" sprawę UOKiK. Miał się przy tym powoływać na swoje kontakty z Mateuszem Morawieckim i prezesem UOKiK Tomaszem Chróstnym. Później przekazał, że „jest po sprawie" i że pisma z UOKiK przestały przychodzić. Z nikim się jednak nie spotkał, niczego nie załatwił, ale prezent kupiono około sześciu tygodni później. Piesiewicz potwierdza, że Kral przekazał mu zegarek, ale zapewnia, że zapłacił za niego gotówką.

W środę ci sami dziennikarze, poinformowali, że Michał Moskal, poseł PiS i wieloletni współpracownik Jarosława Kaczyńskiego, oraz Artur Chodziński, były funkcjonariusz CBA, spotkali się 7 sierpnia 2025 roku na hiszpańskiej Ibizie z Przemysławem Kralem. Wkrótce po spotkaniu Moskal zaczął się aktywnie zajmować tematem kryptowalut w Sejmie.

Piesiewicz miał załatwić sprawę

Radosław Piesiewicz, który w sprawie Zondacrypto pojawia się nie po raz pierwszy, na platformie X odpowiedział na pytania wysłane przez Szymona Jadczaka. Dziennikarz dopytywał o kontrakty z Przemysławem Kralem i drogą błyskotkę.

„Tak, potwierdzam, że kupiłem zegarek wspomnianej marki z własnych osobistych środków, a w zakupie pomógł mi pan Przemysław Kral. Zakup akurat takiego zegarka jest skomplikowany i mimo podejmowanych przeze mnie prób wcześniej nie udało mi się nabyć zegarka tej konkretnej marki. Podczas jednej z rozmów, Przemysław Kral powiedział, że ma taką możliwość, by ten zegarek pomóc mi kupić. Umówiliśmy się, na jego wyraźną prośbę, abym zapłacił mu za niego gotówką (uczyniłem to w kliku ratach, podczas naszych spotkań, co potwierdzą świadkowie). Zegarek jest z certyfikatem wystawionym na moje imię i nazwisko. Oczywiście nie płaciłem żadnego podatku, gdyż nie jest to darowizna, a zakup" - stwierdził Radosław Piesiewicz. Tyle tylko, że 19 listopada zeszłego roku Kral napisał do Radosława Piesiewicza, że chce mu coś przekazać. Panowie spotkali się w hotelu, tam Kral dał szefowi PKOl zegarek Patek Philippe Calatrava 6007G-001 za 40 tys. euro. Po spotkaniu Piesiewicz wysłał do Krala esemesa: „Jesteś niesamowity", „Jestem w szoku, dziękuję". Czemu był „w szoku" z powodu kupionego przez samego siebie zegarka? Brzmi dziwnie, trzeba przyznać.

Dziennikarz pytał też szefa PKOl o wizyty w Monako i o co chodzi z tym stekiem.

„27 listopada 2025 r., umawiając spotkanie w Monako, Przemysław Kral napisał do Pana: „Stek tak jak ostatnio może być?". Ile razy przed listopadem 2025 r. spotykał się Pan z Przemysławem Kralem, kiedy i w jakich miejscach?" - to jedno z pytań przesłanych do Piesiewicza.

„Faktycznie kilkukrotnie spotkałem się z panem Kralem w Monako. Miało to miejsce w trakcie negocjacji warunków umowy. Także potem, już po podpisaniu umowy doszło do kilku spotkań z Przemysławem Kralem, jako przedstawicielem głównego sponsora PKOl. Rozmawialiśmy m.in. o planowanych inicjatywach, które mieliśmy wspólnie podejmować np. wsparcie Olimpijek, będących Mamami" - odpisał prezes PKOl.

Według ustaleń WP i TVN24, oprócz zegarka Kral miał opłacić Piesiewiczowi i jego bliskim miejsca VIP na mecz AS Monaco - PSG w listopadzie ubiegłego roku oraz i wizyty na innych piłkarskich spotkaniach. Opłaty za bilety, hotele oraz transport miały wynieść szefa Zondacrypto około 18–44 tys.

„Tak, byłem na meczu Atalanta - Juventus, na zaproszenie sponsora klubu z Bergamo firmy zondacrypto. Spółka opłaciła wówczas hotel. Jednak przeloty na ten mecz mojego syna opłaciła moja małżonka" - odpowiada Piesiewicz na jedno z pytań.



FOT. X.COM PRZEMYSŁAW KRAL

Przemysław Kral niedawno poszedł na współpracę z prokuraturą. Co z tego wyniknie?

W odpowiedzi na inne tłumaczy, że na mecz pojechał z „panami: Supronem oraz Kotowiczem, był to wyjazd związany z działaniami PKOl, a zatem te koszty zostały pokryte przez PKOl".

Podsumowując: cena zegarka i wyjazdów to grubo ponad 200 tys. złotych. A tylko o nich na razie wiemy.

W czwartek Radosław Piesiewicz został zatrzymany.

„Dziś w ramach śledztwa w sprawie Zondacrypto zatrzymany został Radosław P. Prokuratura będzie przekazywała dalsze informacje po zakończeniu czynności z jego udziałem, prowadzonych w Śląskim Wydziale PZ PK" - potwierdził na platformie X Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości.

Moskal szukał sponsora

Michał Moskal, rocznik 1994, to były szef gabinetu politycznego Jarosława Kaczyńskiego i dyrektor Biura Prezesa PiS, członek sejmowej Komisji Cyfryzacji. Spotkanie z Kralem zorganizował mu Artur Chodziński, były agent CBA, który przez wiele miesięcy pracował dla szefa Zondacrypto. Kral miał poprosić Chodzińskiego o kontakt do młodego polityka, który zna się na nowych technologiach. Wybór padł na Moskala. Moskal też miał coś do ugrania - szukał sponsora lub patrona konferencji, którą organizowała jego fundacja i pod tym kontem sondował Krala.

Po publikacji w mediach, Michał Moskal stwierdził, że celem spotkania było „wyłącznie przeprowadzenie wstępnej rozmowy na temat wsparcia konferencji dot. nowych technologii", a koszty „rozliczył po powrocie, tego samego dnia, z prywatnych środków".

„Z Kralem rozmawiałem raz — tak samo jak z dziesiątkami innych przedsiębiorców. Ani ja, ani żaden z moich współpracowników, ani żadna z organizacji społecznych, w których działam, nigdy nie podjęli z nim ani z podmiotami z nim związanymi żadnej współpracy. Nie przyjęliśmy od nich ani złotówki. Każdy, kto będzie próbował insynuować cokolwiek innego, spotka się z twardą odpowiedzią na drodze sądowej" - napisał poseł PiS.

Tyle tylko, że Moskal, który wcześniej nie zajmował się kryptowalutami,

po spotkaniu z Kralem mocno się uaktywnił w tym temacie, wystosował chociażby oficjalne pismo do szefa Komisji Nadzoru Finansowego (KNF), w którym protestował przeciwko jego słowom, że kryptowaluty „nie są instrumentem służącym realizacji celów, którym służy rynek finansowy".

Potem, 9 września, sam pochwalił się na platformie X, że razem z innym ówczesnym posłem PiS, Januszem Kowalskim, złożył poprawki do rządowego projektu ustawy o kryptoaktywach. Poprawki dotyczyły tych samych wątków, które znalazły się w uwagach Krala z marca 2024 roku do tego samego projektu. Dzisiaj Moskal twierdzi, że to nie on był autorem poprawek i nie on odpowiadał za ich przygotowanie i że „oceniał je i nadal ocenia pozytywnie".

Kasa na zegarki za 40 tysięcy euro, na media, wyborcze imprezy, fundacje prawicowych polityków. A przecież serial „Zonda" dopiero się rozkręca...

DONALD TUSK
premier

Prawo i Sprawiedliwość o wojażach Moskala i jego spotkaniu Kralem ponoć nic nie wiedziało.

„Pan Michał Moskal nie informował kierownictwa PiS o swoim wyjeździe na Ibizę, nie reprezentował tam też naszej partii i nie znamy powodów wyjazdu p. Michała Moskala. Nasza formacja nigdy nie prowadziła żadnych konsultacji z p. P. Kralem, co więcej rekomendowaliśmy całkowity zakaz kryptowalut" — napisał rzecznik PiS, Rafał Bochenek.

Prawica a ustawa o kryptowalutach

Dziwne powiązania polityków prawicy z Zondacrypto wyszły ma jaw przy okazji próby uregulowania rynku kryptowalut. Karol Nawrocki trzy razy zawetował ustawę, która to właśnie miała na celu.

Ale po kolei: pierwszy raz zawetował ją 7 listopada 2025 roku. Zbigniew Bogucki, szef kancelarii prezydenta decyzję Nawrockiego tłumaczył wtedy między innymi tym, że ustawa wprowadzała rozwiązania nadmierne, niejednoznaczne i nieproporcjonalne.

5 grudnia, przed głosowaniem nad odrzuceniem prezydenckiego weta, Donald Tusk podczas niejawnych obrad Sejmu, przedstawił posłom, zapowiedzianą jako pilną, informację dotyczącą bezpieczeństwa państwa. Wiadomo, że na sali plenarnej mówił o „kryptoaferze i rosyjskim w niej śladzie".

Weta prezydenta jednak nie odrzucono, zadecydowały o tym głosy polityków PiS-u i Konfederacji.

Po głosowaniu premier Donald Tusk zapowiedział szybkie złożenie nowego projektu w tej sprawie. I tak też się stało - nowy projekt o identycznym brzmieniu, jak ten zawetowany, trafił do Sejmu i 18 grudnia ubiegłego roku został uchwalony.

Projekt, co podkreśla strona rządowa, miał zapewnić stosowanie rozporządzenia MiCA (The Markets in Crypto-Assets Regulation). Co to takiego? Rozporządzenie MiCA „określa zharmonizowane dla wszystkich państw członkowskich ramy prawne dla rynków kryptoaktywów, wprowadzając szczegółowe przepisy dotyczące kryptoaktywów, związanych z nimi usług i działań, które nie są jeszcze objęte unijnymi aktami ustawodawczymi dotyczącymi usług finansowych".

Chodzi między innymi o „wprowadzenie środków nadzorczych mających na celu przeciwdziałanie naruszeniom, których mogą dopuścić się podmioty nadzorowane"

W lutym tego roku prezydent Nawrocki zawetował ustawę po raz kolejny.

Wtedy premier Donald Tusk publicznie powiedział to, o czym wiedzieli już posłowie z niejawnych obrad Sejmu.

- Mam informacje, które rodzą bardzo dramatyczne pytania: dlaczego PiS, Konfederacja i prezydent blokują rozwiązania dotyczące rynku kryptowalut. Być może niestety znaleźliśmy rozwiązanie, dlaczego to robią – stwierdził Donald Tusk, przekazując in-

eprasa.pl 5b705b0441

formację, którą otrzymał od Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Wynika z nich, że na przełomie października i listopada 2025 roku, miesiąc przed głosowaniem weta prezydenta w sprawie regulacji rynku kryptowalut, Przemysław Kral, prezes zarządu giełdy kryptowalutowej Zondacrypto dokonał wpłat na rzecz dwóch fundacji: 450 tys. zł wpłacono Fundacji Instytut Polski Suwerennej Zbigniewa Ziobro. Część z tych środków przeznaczono na obrońców Dariusza Mateckiego i księdza Michała Olszewskiego. Inna spółka związana z Zondacrypto i panem Kralem Expofer Servis House zrealizowała transakcję na rzecz fundacji posła Przemysława Wiplera. Zondacrypto była także głównym sponsorem imprezy prawicowych działaczy CPAC.

- W trakcie kampanii prezydenckiej najważniejszymi uczestnikami tej imprezy byli prezydenci Duda i Nawrocki - podkreślił Donald Tusk, zaznaczając, że jest to „tylko część materiału".

Według premiera, Zondacrypto powstała w „okolicznościach zasługujących na mocny film kryminalny". Założyciel zaginął w nieznanych okolicznościach, według wszystkich przypuszczeń nie żyje. Jak przypomniał Donald Tusk, „wielka kariera" Zondacrypto zaczęła się w 2022 roku z nowym szefem, za pieniądze - jak oświadczył szef rządu - rosyjskiej mafii.

- U źródeł sukcesu finansowego tej firmy stoją nie tylko rosyjskie pieniądze powiązane z tzw. bratwą, czyli jedną z najważniejszych grup mafijnych w Rosji, ale także ze służbami rosyjskimi - mówił premier.

Nie podziałało. Było kolejne weto prezydenta, kolejnego jego odrzucenie, ale politycy prawicy coraz mętniej tłumaczyli swoje głosowania.

Oszustwo na ogromną skalę

W między czasie okazało się, że do prokuratury zgłaszają się poszkodowani przez pana Krala, którzy na Zondacrypto stracili swoje pieniądze. Wśród nich także polscy sportowcy, Zondacrypto wyjątkowo chętnie wspierała bowiem sport. Od października pełniła rolę głównego sponsora PKOl. W ramach tej współpracy firma zobowiązała się do wypłaty nagród dla polskich sportowców za wyniki osiągnięte podczas zimowych igrzysk olimpijskich Mediolan–Cortina 2026. Łączna wartość tych świadczeń wynosi około 13,8 mln zł. Problem polega na tym, że część nagród została wypłacona w formie tokenów – cyfrowych aktywów dostępnych w aplikacji sponsora. Choć środki formalnie pojawiły się na kontach sportowców, wielu z nich nie jest w stanie zamienić ich na realne pieniądze.

Prezes PKOl Radosław Piesiewicz - ten od drogiego zegarka - zaznaczył wówczas, że PKOl nie ma obecnie podstaw prawnych do zerwania umowy ze sponsorem. Taka decyzja mogłaby wiązać się z poważnymi konsekwencjami finansowymi dla organizacji. Stwierdził też, że nie był świadomy problemów Zondacrypto w chwili podpisania z nim umowy oraz że przed złożeniem podpisu informował ABW o zamiarach rozszerzenia grona sponsorów o podmioty spoza Unii Europejskiej.

„Prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz kłamie i manipuluje" - szybko odpowiedział rzecznik Tomasza Siemoniaka Jacek Dobrzyński. I tłumaczy, że w piśmie z 17 października 2025 roku skierowanym do ABW, PKOl nie pyta o firmę Zondacrypto ani o kryptowaluty. Informuje jedynie, że „rozpatrywane jest nawiązanie współpracy z podmiotami zagranicznymi, w tym działającymi poza obszarem Unii Europejskiej a także oferującymi produkty i usługi niestandardowe" i zwraca się z prośbą o „udzielenie informacji lub przeprowadzenia szkolenia dla kierownictwa (...) organizacji z zakresu ewentualnych ryzyk związanych ze współpracą z tego typu podmiotami i organizacjami".

„Co ciekawe Piesiewicz na konferencji prasowej sam stwierdził, że już 5 dni później (najwyraźniej nie czekając na odpowiedź ABW) - 22 października 2025 r. ogłoszono współpracę z firmą Zondacrypto. W piśmie PKOl wskazał swojego sekretarza generalnego do kontaktów telefonicznych z ABW. Funkcjonariusze ABW kontaktując się z PKOl przedstawili ofertę szkoleń z zakresu profilaktyki kontrwywiadowczej i antyterrorystycznej. Po przedstawieniu oferty sekretarz generalny zobowiązał się do wskazania dogodnego dla PKOl terminu, a następnie nie reagował na kolejne próby kontaktu ze strony funkcjonariuszy ABW" - analizuje Dobrzyński i podsumowuje: „Panie Piesiewicz, kłamstwo ma krótkie nóżki".

Wiadomo, że Zondacrypto sponsoruje też wiele klubów piłkarskich, nie tylko polskich zresztą, niektóre kończą z nim współpracę.

Kolejny z wizytą u Krala

I żeby było jasne, z Zondacrypto i panem Kralem powiązanych jest znacznie więcej polityków prawicy, czy ludzi z nią kojarzonych - nie tylko Zbigniew Ziobro, Przemysław Wipler, czy prezes Piesiewicz. W kwietniu tego roku szeregi Prawa i Sprawiedliwości opuścił wspomniany już wcześniej Janusz Kowalski. Oficjalnie powód – niezgoda na to, jak działają struktury tej partii na Lubelszczyźnie. Była też wersja nieoficjalna, bardziej wiarygodna zwłaszcza biorąc pod uwagę wypowiedź Adama Bielana, z której wynika, że „odejście tego polityka PiS-u było dyskutowane od wielu tygodni".

Jak bowiem ustaliła Wirtualna Polska, rezygnacja Kowalskiego ma bezpośredni związek z aferą wokół Zondacrypto, polityk i tak zostały z PiS usunięty, uprzedził więc co nieuniknione. Kowalski od jakiegoś czasu wykazywał wyjątkowe zainteresowanie rynkiem kryptowalut. Równolegle pracownicy Zondacrypto opowiadali dziennikarzom WP o co najmniej czterech wizytach ówczesnego polityka PiS w katowickich siedzibach firmy i innych lokalach powiązanych z Przemysławem Kralem. Informatorzy WP twierdzili, że „w czasie jego wizyt włączano w firmie zagłuszarki".

Informacje dotarły do kierownictwa PiS. Wiadomo było, co się stanie. Kowalskiego ponoć nikt nie zatrzymywał.

„Ostatecznie Kowalskiego pogrążył anonim, który przyszedł na Nowogrodzką, opisujący powiązania posła z giełdą. Materiał był szczegółowy, zawierał wiele informacji, które obciążały Kowalskiego" – usłyszeli dziennikarze WP od jednej z osób znających kulisy odejścia posła.

Pierwsza wizyta miała mieć miejsce latem 2023 roku, tuż przed kampanią parlamentarną. Druga - na początku grudnia 2023 roku, już w nowym Sejmie. Trzecia - w maju 2024 roku. Ostatnia - w maju lub czerwcu 2025 roku. To Kowalski pomógł nawiązać relacje między Kralem a kierownictwem Telewizji Republika, którą Zondacrypto hojnie wspierała.

Co ciekawe, 22 lipca 2025 roku odbyło się pierwsze czytanie rządowego projektu ustawy o rynku krypto aktywów i Kowalski stał się jednym z najgłośniejszych krytyków regulacji.

Złożył 11 poprawek do projektu. Mówił o „nadregulacji" i „118 stronach ponad unijne minimum". Oskarżał rząd o działanie „w interesie lobby bankowego" i Commerzbanku. Wystąpił na konferencji Next Block Expo, udzielił obszernego wywiadu portalowi bitcoin.pl, apelował do prezydenta Karola Nawrockiego o weto. Zbieg okoliczności?

Serial „Zonda" trwa

Zestawiając fakty, rodzi się pytanie: Jakie związki politycy prawicy mieli z giełdą krytowalut? I czy na tych związkach korzystali?

- Z jakiegoś powodu zawzięcie blokowali możliwość uregulowania tego rynku i narazili na szwank bezpieczeństwo państwa oraz na straty tysiące ludzi – stwierdził swego czasu premier Donald Tusk. Zachowali się w tej sprawie jak lobbyści? – dopytali dziennikarze.

- Dla mnie od początku było jasne, że ta polityczna więź, obecność polityków PiS-u, prezydenta i kandydata na prezydenta na imprezach finansowanych przez Zondacrypto, ten typ reklamy, to wszystko pokazywało, że coś może za chwilę się z tym zdarzyć. Uprzedzałem o tym także prezydenta - odpowiedział.

I zdarzyło się, ludzie na giełdzie kryptowalut stracili pieniądze, ale, jak dodał premier, nie mamy przepisów, które pozwalają na „skuteczne działania kontrolne ze strony państwa z winy Nawrockiego, PiS i Konfederacji".

- Na ile oni robili to na zamówienie Zondacrypto czy innych aktorów obecnych na rynku kryptowalut, nie jestem od tego, żeby zastąpić prokuraturę czy sąd, ale sprawa śmierdziała od samego początku – mówił Donald Tusk.

Przypomniał, że już wcześniej ostrzegał przed powiązaniami giełdy z rosyjską mafią.

- Ewidentne to, że prezydent Duda, prezydent Nawrocki dawali twarz imprezom przez nich (Zondacrypto) finansowanym, to samo w sobie było bardzo, bardzo niepokojące. Zawsze się wtedy pojawia pytanie: głupota, pieniądze, jakieś wpływy polityczne, szantaż? Tej zagadki sam nie rozwikłałem, ale na pewno mają się z czego tłumaczyć - przekonywał Tusk.

Zagadkę próbują rozwikłać prokuratorzy. Śledztwo w sprawie Zondacrypto zostało wszczęte w kwietniu 2026 roku pod kątem oszustw znacznej wartości i prania brudnych pieniędzy.

Postępowanie, które początkowo prowadziła Prokuratura Regionalna w Katowicach, pod koniec lipca zostało połączone ze śledztwem toczącym się w śląskim wydziale PK, dotyczącym zaginięcia Sylwestra Suszka, założyciela giełdy BitBay, poprzedniczki Zondacrypto.

Suszek, określany mianem króla kryptowalut, zaginął w marcu 2022 roku, najprawdopodobniej został zamordowany w związku z przestępczymi rozliczeniami.

- Jest przełom w śledztwie. Są bardzo intensywne czynności, prowadzone od kilku miesięcy i na pewno w najbliższych tygodniach dostaniecie państwo informacje - stwierdził ostatnio minister sprawiedliwości Waldemar Żurek w rozmowie z dziennikarzami w Sejmie.

Wiadomo, że śledczy badają także możliwe przestępstwa związane z finansowaniem podmiotów związanych ze Zbigniewem Ziobrą, Przemysławem Wiplerem, Tomaszem Sakiewiczem i Telewizją Republika, bo giełda sponsorowała prawicową telewizję, oraz konferencją CPAC. Pojawili się nowe dowody i nowi świadkowie, którzy chcą zeznawać.

Prokuratura potwierdza: w postępowaniu są już podejrzani, którym przedstawiono zarzuty. Ponoć sam Przemysław Kral miał usłyszeć zarzut udziału w oszustwie ogromnych rozmiarów, nie przedstawiono zarzutów związanych z zaginięciem Suszka. Współpracuje z prokuraturą, chce zeznawać w zamian za złagodzenie kary. O czym będzie opowiadał? Pewnie o tym, jak finansował polityków prawicy.

Donald Tusk ostatnie doniesienia mediów skomentował na platformie X, napisał tak: „Teraz już wiemy, dlaczego z uporem maniaka Karol Nawrocki i PiS blokowali ustawę o kryptowalutach. Kasa na zegarki za 40 tysięcy euro, na media, wyborcze imprezy, fundacje prawicowych polityków. A przecież serial „Zonda" dopiero się rozkręca..."

Wszystko wskazuje na to, że, rzeczywiście, ten serial będzie trwał i, co rusz, będą się w nim pojawiać nowi bohaterowie.

REKLAMA 0211461412



eprasa.pl 5b705b0441

ROZMOWA

Piotr Wawrzyk, były wiceminister spraw zagranicznych, przerywa milczenie: To była pseudoafera, pluli na mnie na ulicy

Jak żyje człowiek, który z wiceministra spraw zagranicznych i świętokrzyskiego posła stał się symbolem głośnej afery wizowej, trafił do szpitala, został zatrzymany, oskarżony, zniknął z wielkiej polityki, a trzy lata po tamtych wydarzeniach wraca do ludzi, recenzując schabowego? Z Piotrem Wawrzykiem rozmawia Paweł Więcek

Paweł Więcek

Panie ministrze, dziękuję za przyjęcie zaproszenia. Zacznijmy od nowej aktywnością, którą Pan podjął. Gdzie dziś można zjeść najlepszego schabowego w Kielcach albo w Polsce?

Najlepszego schabowego w Polsce można zjeść w Kielcach.

A w jakim miejscu?

Ja osobiście uważam, że najlepszy jest CBM. Centralny Bar Mleczny przy ulicy Sienkiewicza.

Ma Pan to przetestowane?

Tak. Jeżeli chodzi o tego rodzaju dania, to oczywiście CBM. Natomiast próbowałem też w innych miejscach, na przykład w Dźwirzynie.

Chyba tam się to wszystko zaczęło? Nad morzem.

Tak, dlatego że była taka wersja w pewnym momencie, że nad polskim morzem nie warto wypoczywać, bo kiepskie jedzenie i drogie.

I paragony grozy...

Tak. Ale jak państwo popatrzycie na moje filmiki z Dźwirzyna i z Kielc, to zobaczycie, że różnica cenowa nie jest aż tak wielka.

Panie ministrze, skąd w ogóle wzięła się ta nowa wersja Piotra Wawrzyka pod tytułem krytyk kulinarny? To forma jakiegoś odreagowania tego, co wydarzyło się w przeszłości w Pańskim życiu?

Przede wszystkim nie zgodziłbym się ze stwierdzeniem, że to nowa wersja, bo pan redaktor zapewne wie, że ja w trakcie kampanii w 2019 roku i w trakcie swojej kadencji sejmowej wielokrotnie pokazywałem się w sytuacjach kulinarnych. Zawsze byłem zwolennikiem dobrej kuchni, dobrego gotowania.

Media okrzyknęły Pana nowym Książulem. Znany influencer kulinarny powinien już czuć oddech konkurencji na plecach?

Panie redaktorze, gdzie mnie, biednemu amatorowi, do takiego zawodowca, do takiej ikony tego stylu, jakim jest Książulo...

Czyta Pan komentarze, które pojawiają się pod Pana filmikami? Zbiera Pan też oczywiście pozytywne lajki. Natomiast jest też wiele komentarzy, które noszą znamiona hejtu. Najłagodniejsze z nich to na przykład takie, że niedługo będzie Pan testował kuchnię więzienną. To Pana boli?

Osób, które żywią się nienawiścią wobec innych, widocznie jest na tyle dużo, że zauważyły również moją aktywność, ale w pewnym sensie jest to dla mnie nobilitacja. Bo jeżeli ktoś zajmujący się przeglądaniem sieci natrafił na moje filmiki i raczył je skomentować, no to uważam, że jest to w pewien sposób docenienie tego, że zostałem zauważony przez te osoby. Ale oczywiście to jest hejt, czasami będący wprost mową nienawiści. Ale wydaje mi się, że najlepszą opinię wystawia sobie sam piszący tego rodzaju komentarze, a mnie to po prostu tylko skłania do tego, żeby czasami odpisywać. Jak na przykład ktoś pisze: „Po ile wizy?". No to oczywiście...

...Pan odsyła do MSZ.

To ja odsyłam do MSZ, bo MSZ zajmuje się wizami, a nie ja.

Nie czerpie Pan z tego jakiejś takiej masochistycznej przyjemności? Pan wiedział, że takie będą reakcje internetu na Pana działalność.

Szczerze mówiąc,nie. Odwrotnie – raczej się nie spodziewałem, że to się spotka z tak dużym zainteresowaniem opinii publicznej, a w tym przypadku również tych hejterów czy specjalistów od mowy nienawiści. Więc to było dla mnie bardzo zaskakujące, że z tak dużym odzewem spotkały się moje filmiki. Czasami są to takie wpisy, które skłaniają mnie do ironicznych komentarzy. Jak ktoś pisze na przykład „wizy", to się mnie rymuje z kolei z „pyzy".

A nie miał Pan takich głosów ze strony najbliższych, przyjaciół: „Piotr, daj spokój, nie rób tego, bo to szkodzi tobie"?

Pozostaję cały czas pod opieką specjalistów. Umówiony jestem w ten sposób, że jeżeli zacznie mi to przeszkadzać, że zacznie się to odbijać na moim zdrowiu, to wtedy oczywiście podejmiemy odpowiednie działania. Natomiast póki co tak się nie dzieje, więc kolejne filmiki będą się pojawiały.

Był Pan posłem dwóch kadencji.

Jednej.

Jednej kadencji i wiceministrem spraw zagranicznych. To jeszcze zanim Pan został posłem. Stąd te dwie kadencje w moich ustach. Pracował Pan także na uczelni. Co dzisiaj robi Pan zawodowo? A mówiąc wprost: z czego żyje Piotr Wawrzyk?

Tych działalności nie prowadzę. Obecna władza jest całkiem nie z mojej bajki, więc wyłączyłem się w ogóle z polityki. Z tym że są dwie rzeczy, na które chciałbym w sposób jasny i zdecydowany zwrócić uwagę, jeżeli chodzi o finanse. W ramach różnych spraw związanych z tą tak zwaną pseudoaferą wizową – jak ja to nazywam – były również sprawdzane przez Centralne Biuro Antykorupcyjne moje finanse. Żadne nieprawidłowości nie zostały stwierdzone, więc na wizach, jak to się mówi, też nie dorobiłem.

Wracam do pytania: z czego Pan dzisiaj żyje? Co Pan robi zarobkowo, zawodowo?

Nie zajmuję się działalnością zawodową, dlatego że jestem od 2023 roku w trakcie leczenia.

Da się wrócić do normalnego życia, kiedy jest się posiadaczem nazwiska, które po wpisaniu do wyszukiwarki Google'a od razu konotują Pana z aferą wizową? To już zostanie z Panem na zawsze.

Myślę, że nie zostanie na zawsze. W moim przekonaniu afera wizowa to jest błędne określenie, bo czegoś takiego po prostu nie było. Była działalność przestępcza jednej osoby i innych osób z nią powiązanych, ale niebędących pracownikami Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Nazywa Pan aferę wizową pseudoaferą. Pseudoafera kojarzy mi się z jakimś zjawiskiem sztucznie wykreowanym w określonym celu przez osoby, które miały określone intencje. Tak Pan też dzisiaj definiuje tę sprawę?

Dokładnie. Wydarzenia miały miejsce, ale wykreowane to zostało jako właśnie pseudoafera przez ówczesną opozycję, dzisiaj rządzących. W sposób absolutnie kłamliwy, nieprawdziwy, w sposób nieodpowiadający rzeczywistej sytuacji, która miała miejsce. Jestem w stanie w tej chwili podać przykład, chociażby ten o tak zwanych straganach, czy – jak teraz mówi minister Siemoniak – łóżkach polowych. Ciekawe, skąd pan minister wie o tych łóżkach polowych, skoro nawet wtedy nie było o tym mowy. Teraz nagle u ministra koordynatora pojawia się sformułowanie „łóżka polowe", że były sprzedawane na nich wizy. To sformułowanie o straganach zostało zresztą wprost zdementowane przez dziennikarzy, którzy jako pierwsi podali tę informację, przez dziennikarzy Radia Zet, którzy po prostu powiedzieli, że źle zrozumieli informację, którą im przekazano z MSZ. Im przekazano informację, że na straganach przed polskimi konsulatami – i tak było rzeczywiście – można było znaleźć dokumenty danego kraju, które ułatwiały uzyskanie polskiej wizy. Na przykład oświadczenie, że się jest zatrudnionym w jakiejś firmie w tym kraju i zarabia się niebotyczne pieniądze. Skoro ktoś mógł przedstawić tego rodzaju dokument, to tym samym było większe prawdopodobieństwo, że może dostać pozytywną opinię wizową albo też dokumenty potwierdzające, że dana osoba posiada w tym państwie, z którego pochodzi, w którym ubiega się o polską wizę, duży rachunek bankowy na dużą kwotę. Ale podkreślam: nie było mowy o tym, że tam były sprzedawane polskie wizy. To jest po prostu fizycznie niemożliwe, dlatego że wiza jest wyrabiana w Polsce dla konkretnej osoby przez Państwową Wytwórnię Papierów Wartościowych z nazwiskiem danej osoby, ze znakami, zabezpieczeniami i nie jest możliwe, aby pojawiła się gdziekolwiek w takim obrocie, jak jest to sugerowane.

Powiedział Pan, że ta afera była sztucznie wykreowana przez ówczesną opozycję. No, ale musimy jednak osadzić pewne rzeczy na osi czasu. Wybuchła afera za czasów rządów Prawa i Sprawiedliwości. Był Pan wówczas członkiem gabinetu Mateusza Morawieckiego i to CBA z tamtych lat, pod nadzorem ówczesnych polityków Prawa i Sprawiedliwości, prowadziło postępowanie w tej sprawie. Do jakiego pytania zmierzam? W jakim stopniu było to wykreowane w takim razie przez opozycję, a w jakim stopniu być może było wydane zlecenie na Pana z kręgu Pana macierzystej formacji?

Nie mam informacji o – jak to pan ujął – zleceniu wydanym na mnie z mojej macierzystej formacji. Natomiast mam informacje, jak to się wtedy rozgrywało, ale myślę, że jeszcze nie czas, żeby o tych informacjach mówić. Ale na pewno będą to informacje dla opinii publicznej bardzo bulwersujące.

Będą dotyczyć prominentnych działaczy Prawa i Sprawiedliwości?

eprasa.pl 5b705b0441



FOT. JULIA ŻAK

Z Piotrem Wawrzykiem, byłym posłem i wiceministrem spraw zagranicznych, rozmawiał Paweł Więcek

Tak jak powiedziałem, poczekajmy jeszcze. Upłynie odpowiedni czas, kiedy będę mógł o tych sprawach mówić bez narażania się na odpowiedzialność karną.

Powiedział Pan także, że zarówno minister Siemoniak, jak i premier Donald Tusk rozpowszechniają fałszywe informacje na Pana temat. Czy to, co mówią, spotka się z reakcją z Pana strony? Czy spotyka się już może? Czy nie chce Pan wchodzić na ścieżki sądowe?

Myślę, że nie będę wchodził na ścieżki sądowe, ale jeżeli ktoś mimo tych sformułowań, mimo tych dementi w poszczególnych sprawach nadal powtarza kłamstwa, to myślę, że najlepszą opinię wydaje sam o sobie, że jest po prostu człowiekiem niewiarygodnym.

Panie ministrze, Pan w tej sprawie ma status oskarżonego. Prokuratura oskarża Pana o przekroczenie uprawnień i ujawnienie informacji służbowych. Nie ma mowy o przyjmowaniu korzyści majątkowych ze sprzedawania tych wiz. Czy czuje się Pan za cokolwiek w tej sprawie odpowiedzialny? Nie chodzi mi tu o odpowiedzialność karną, bo to rozstrzygnie w swojej mądrości, kierując się majestatem Rzeczypospolitej, sąd. Pytam o odpowiedzialność człowieka, który był wiceministrem i nadzorował pion konsularny.

Tak, mam poczucie pewnej winy, ale bardziej w wymiarze, tak jak pan powiedział, moralnym. Żałuję dwóch rzeczy przede wszystkim. Po pierwsze, że niestety miałem tę nieprzyjemność poznania pana Edgara K., a po drugie, że miałem tę niestety nieprzyjemność zaufania jemu, jego słowu.

Kim on w ogóle był dla Pana? I czy wiedział Pan, że – przynależał się zresztą do tego przed obliczem prokuratora – stworzył swego rodzaju mechanizm do zarabiania pieniędzy.

Dla siebie.

Dla siebie, tak, oczywiście. Bo ja Edgara K. też znam z naszego lokalnego świętokrzyskiego podwórka. Przy różnych politykach się pojawiał w trakcie swojej krótkiej, być może nawet błyskotliwej kariery politycznej.

Odpowiedź na to pytanie narażałaby mnie na konsekwencje prawne.

Czy w związku z tą sprawą, tego handlu wizami, kiedykolwiek otrzymał Pan od kogokolwiek, a zwłaszcza od Edgara K., złotówkę za – tak jak Panu tutaj się zarzuca w przestrzeni medialnej – przyspieszanie tych procedur?

Ani ja nigdy od niego nic nie dostawałem, ani się nie dopominałem. Tak stwierdzają też prokuratura, organy ścigania, więc co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Z tego tytułu nic mi nie przybyło, więc używanie tego rodzaju sformułowań wobec mnie po prostu jest mówieniem nieprawdy potwierdzonym przez prokuraturę.

Teraz pytanie, na które może Pan odpowiedzieć, a może Pan nie odpowiadać – zostawiam to Panu. Dotyka pewnych bardzo delikatnych, wrażliwych kwestii. Co wydarzyło się z Panem w nocy z 14 na 15 września 2023 roku, kiedy trafił Pan do szpitala?

To był taki dzień, kiedy wydarzyło się kilka rzeczy stanowiących niejako apogeum tej nagonki. Tego słowa nie boję się używać. I fali hejtu, i nienawiści, która się wylała na mnie po odejściu z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, po skreśleniu mnie z listy kandydatów na posła z naszego okręgu. Tego dnia jeden z portali opublikował zmanipulowany w dużym, bardzo dużym stopniu artykuł o tych tak zwanych ekipach filmowych.

Z Bollywood.

Z Bollywood, tak. Drugi dziennikarz z kolei do mnie się osobiście zwrócił o wyjaśnienie moich dochodów. To już wyjaśniliśmy, że tutaj okazało się, iż nie było żadnego problemu z tym. No i była też sytuacja z ówczesnym liderem opozycji, dzisiaj premierem, który też w bardzo nieładny sposób zaczął się na konferencji wobec mnie wypowiadać. No i jeszcze taka wisienka, w cudzysłowie, na torcie. Ja praktycznie całe życie mieszkam w zwykłym bloku. Pod moim mieszkaniem koczowali dziennikarze jednego z mediów, domagając się rozmowy ze mną. Odpytywali sąsiadów na mój temat i czekali na możliwość kontaktu ze mną. To doprowadziło do tego, że znalazłem się w szpitalu.

Media opisywały to jako próbę samobójczą. Ponoć zostawił Pan także list.

Tak, to prawda.

Cieszy się Pan, że to była tylko próba?

Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. To jest zbyt trudny i zbyt świeży temat, aby precyzyjnie odpowiedzieć na to pytanie. Na pewno, tak jak powiedziałem, okazało się, że mój organizm jest w stanie mniej wytrzymać niż wtedy się wydawało. Okazało się, że nie potrafiłem tego wytrzymać i włącznie z tą kulminacją, tak jak mówię, tych dziennikarzy koczujących dosłownie pod drzwiami mojego mieszkania. Wyobraźcie sobie państwo – mieszkacie w bloku, a ktoś koczuje pod waszymi drzwiami. Nie możecie wyjść, nie możecie normalnie funkcjonować.

Zanim objął Pan urząd wiceministra spraw zagranicznych, był Pan profesorem na Uniwersytecie Warszawskim.

Doktorem habilitowanym.

Potem trafił Pan do ministerstwa, później został posłem. W jakimś stopniu znalazł się Pan na szczycie polityki. Niemalże. Nagle to wszystko runęło jak domek z kart. Sięgnął Pan, tak to można określić, takiego emocjonalnego, egzystencjalnego dna. To może mocne słowa, ale chyba tak to było. Co w tych chwilach było dla Pana najtrudniejsze z jednej strony, a z drugiej strony, kto w tych chwilach podał Panu rękę?

Najtrudniejsze było to, o czym już wspominałem – że wiedziałem, iż wiele z tych informacji, które się pojawiały w różnych mediach, to jest po prostu nieprawda, że to są wymysły, nie wiem czyje: czy dziennikarzy, czy dziennikarzom przez kogoś podsuwane.

A co czuje człowiek, który wie, że piszą o nim nieprawdę, ale w żaden sposób nie może tego zakomunikować?

Nie może tego zakomunikować z jednego prostego powodu...

Bo nikt go nie chce słuchać.

Dokładnie, bo nikt nie chciał słuchać, bo wszyscy, tak jak pan powiedział, wydali już wyrok. I to jest taka bezsilność, bezradność.

Jak Pan wtedy funkcjonował? Wychodził Pan z tego bloku, żeby zrobić zakupy? Czy miał Pan dobrą duszę obok, która wykonywała za Pana takie najbardziej prozaiczne czynności?

Różne mnie reakcje spotykały, włącznie z wprost opluwaniem mnie na ulicy, wyzywaniem na głos czy z okien. Ale na szczęście było kilka osób ze świata polityki, kilka osób z moich znajomych, przede wszystkim z dawnych lat, które po prostu, tak jak mi to jeden ze znajomych powiedział, zbyt długo mnie zna, żeby w te wszystkie głupoty uwierzyć.

Tych aktów takiej bezpośredniej agresji fizycznej wręcz doświadcza Pan także jeszcze dzisiaj?

Od jakiegoś czasu już nie, ale mniej więcej rok temu jeszcze tak. Jeszcze na jesieni ubiegłego roku takie sytuacje miały miejsce.

Dzisiaj jest Pan oskarżonym, czeka Pan na rozpoczęcie procesu. Czego się Pan spodziewa? Jakiego rozstrzygnięcia? Ma Pan zaufanie do trzeciej władzy dzisiaj? Do tego, że ona w sposób niezależny, niezawisły, rzetelnie, odpowiedzialnie rozpozna tę sprawę i wszelkie zawiłości?

Ja po prostu wiem, że jestem niewinny. Wiem, że nie zrobiłem tego, co mi prokuratura zarzuca. Jedyne łamanie prawa, jakie można mi zarzucić, to są wykroczenia związane z ruchem drogowym. Dlatego też nie boję się tego, o czym pan redaktor powiedział. W spokoju na to czekam.

A nie miał Pan pokusy, żeby zaszyć się w Naddniestrzu na przykład?

Rozumiem, do kogo pan [śmiech] redaktor nawiązuje...

Albo za ocean na przykład?

Mnie nigdy nie pociągały tego rodzaju wędrówki. Ja wychodzę z założenia, że ja wiem po prostu, że jestem niewinny. Wiem, że nic złego nie zrobiłem. W związku z tym nie wydaje mi się, abym miał powód do takich radykalnych kroków.

Jestem ostatnią osobą, która będzie rozstrzygać czy ferować wyroki wobec Pańskiej osoby. Myślę, że opinia publiczna powinna sami wyciągnąć wnioski, choćby z naszej rozmowy czy ze znajomości całej tej sprawy. Ale chcę Pana o jedną rzecz zapytać, bo dla mnie osobiście jest Pan symbolem czy pewną manifestacją tego, co z człowiekiem robi polityka, co może z człowiekiem zrobić polityka. Bo ona może człowieka wynieść na szczyty, ale może też brutalnie złapać za twarz i i cisnąć nim o ziemię. Czy dzisiaj, gdyby Pan mógł cofnąć zegar, po tych wszystkich przejściach, w obliczu tego, co też przed Panem, zaangażowałby się Pan w politykę?

To pytanie patrzy bardzo wąsko na moją działalność publiczną. Mówi w zasadzie tylko o tym efekcie takim, jakim jest, tak zwana afera wizowa, ale całkowicie pomija to, co udało mi się zrobić w okresie, kiedy byłem ministrem czy posłem. I z tego względu właśnie, co mi się udało zrobić i dla regionu, i dla kraju, nie zmieniłbym swojego podejścia. Oczywiście na pewno nie dopuściłbym drugi raz do tej sytuacji, jaka miała miejsce z tym człowiekiem. Natomiast jeżeli chodzi o decyzje, które podejmowałem w sytuacjach, które związane były z wojną w Ukrainie, ale też z pomocą dla Polaków w trudnych sytuacjach, to niczego nie żałuję. Nie mam się czego wstydzić, więc podjąłbym jeszcze raz to wyzwanie. Tylko zastrzegam – nie deklaruję dzisiaj powrotu do polityki. W tej chwili jedynym moim celem jest po prostu dojście do pełni zdrowia i tylko i wyłącznie na tym się w tej chwili skupiam.

eprasa.pl 5b705b0441

POLSKA - CZECHY

Walka z dezinformacją, czyli Krecik z Reksiem na pierwszym planie

Cel Kremla jest jasny: za pomocą dezinformacji siać chaos i zamęt w Unii Europejskiej, skłócić Polskę z najbliższymi sąsiadami. Z Ukraińcami próbują nas poróżnić od lat, zalewając internet fake newsami. Wygląda na to, że teraz przyszedł czas na Czechy

Dorota Kowalska

Jeśli ktoś nie pamięta bajki o Kreciku - młode pokolenie na pewno jej nie zna - to warto zerknąć na oficjalny profil Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tam piękne zdjęcie Krecika, który na tle polskiej, czeskiej i unijnej flagi przybija piątkę z Reksiem. Na górze podpis: „Kiedy nasi wrogowie tylko wzmacniają naszą przyjaźń". Internauci nie zawiedli: pod tym wpisem pojawiła się cała masa zdjęć Krecika, który razem z Reksiem przegania niedźwiedzia ubranego w koszulkę w kolorach flagi Rosji, czy razem z Bolkiem i Lolkiem ogląda telewizję.

Krecik to ikona czeskiej kultury dziecięcej, Reksio – polskiej. Bajki z jednym i drugim przez długie lata były tymi ulubionymi polskich i czeskich dzieciaków.

A wracając ze świata bajek do tego rzeczywistego, grafika na stronach MSZ pojawiła się nie bez powodu.

Portal „Seznam Zpravy" poinformował właśnie, że w Czechach i Polsce prowadzona jest kampania dezinformacyjna, wykorzystująca historyczne spory wokół Zaolzia. Jej cel jest jasny - pogorszenie relacji polsko-czeskich. Eksperci podejrzewają, że w akcji palce macza Rosja. Fałszywy czeski dyplomata, spreparowany dokument polskiego rządu, kopia strony internetowej publicznego radia czeskiego i zapowiedź demonstracji na Zaolziu to według ustaleń portalu działania, które mogą być elementami operacji dezinformacyjnej.

O co konkretnie chodzi? Na najbliższą sobotę w Trzyńcu na Zaolziu „planowana" jest demonstracja pod hasłami „Śląsk Cieszyński jest czeski" i „Tutaj żyjemy, tutaj zostajemy". Propaguje ją internetowy profil „Adam Sikora", według którego Polska chce przejąć część czeskiego terytorium. Tyle tylko że władze Trzyńca twierdzą, iż nikt nie zgłaszał im planowanej demonstracji, a termin takiego zgłoszenia przewidziany prawem minął. Co więcej, promujący protest wykorzystali logo związku zawodowego KOVO, który od akcji się odciął i poinformował, że jego znak został użyty bezprawnie.

Dziennikarze „Seznam Zpravy" przeprowadzili własne śledztwo i ustalili, że zarówno sam „Adam Sikora", jak i część uczestników internetowych dyskusji najprawdopodobniej nie istnieją. Samo zdjęcie profilowe „Adama Sikory" przypomina obraz wygenerowany przez sztuczną inteligencję. Dla uwiarygodnienia konta jego autor wcześniej wystawił rzekomo na sprzedaż dom w Ropicy niedaleko Czeskiego Cieszyna. Także zdjęcia nieruchomości zostały stworzone przez AI. Facebook oznaczył je jako sztuczne.



FOT. X.COM/MSZ_RP

Media społecznościowe zapełnione są grafikami podobnymi do tej zamieszczonej przez MSZ Polski

To akcja dobrze zaplanowana i przygotowana już wcześniej. Czeski portal przypomniał, że dezinformacyjne działania zaczęły się po polskiej stronie granicy. Najpierw w internecie pojawił się sfałszowany dokument, który miał pochodzić od polskiego rządu i dotyczyć roszczeń terytorialnych wobec Czech. Rozpowszechniał go profil podszywający się pod czeskiego ambasadora w Polsce Brzetislava Danczaka. Następnie powstała oszukańcza strona czeskiego publicznego radia, na której umieszczono fałszywy artykuł sugerujący, że mieszkańcy pogranicza zaczęli już sprzedawać domy w obawie przed zmianą granic. Potem włamano się na stronę polskiego regionalnego Radia PiK i pojawił się na niej tekst o tym, że Polska planuje zająć około 600 hektarów terytorium Czech. Materiał został usunięty, a sprawą zajmują się polskie instytucje odpowiedzialne za cyberbezpieczeństwo oraz policja.

Twórcy kampanii uderzyli celnie. „Seznam Zpravy" twierdzi, że wykorzystują „ziarenko prawdy", chodzi o tzw. dług graniczny, który powstał przy korekcie granicy w latach 50. W sumie to około 368 hektarów, które są przedmiotem rozmów dyplomatycznych i nie oznaczają polskich planów jednostronnego zajęcia czeskich ziem. Zdaniem ekspertów właśnie połączenie prawdziwego sporu z fałszywymi informacjami czyni operację potencjalnie skuteczną.

- To bardzo skuteczna akcja wymierzona w istniejącą w regionie linię społecznego podziału – cytuje portal ekspertkę Evę Klusovą z Akademii Nauk.

Także zdaniem ekspertów z obywatelskiej grupy „Czeskie Elfy" jest to część rosyjskiej akcji dezinformacyjnej. Rzecznik grupy Bohumil Kartous powiedział PAP, że ślady są typowe dla rosyjskich działań hybrydowych.

- Publikowane są informacje wykorzystujące część prawdy, a mianowicie pewien historyczny spór dotyczący stosunkowo nieistotnego fragmentu terytorium między Polską a Czechami, który jest wyolbrzymiany i umieszczany w zupełnie innym kontekście – w kontekście strachu i obaw, że ktoś straci majątek, że komuś zostanie wyrządzona krzywda – powiedział Kartous.

Dodał, że za tą akcją niekoniecznie musi stać sama Rosja.

- Może to być ktoś, kto wspiera ich interesy w Europie Środkowej – stwierdził rzecznik. - Myślę, że trafnie zareagował polski minister spraw zagranicznych Sikorski, który natychmiast zdementował (...) i oświadczył, że nie jest to przedmiotem żadnego sporu – ocenił Kartous.

Jego zdaniem działania hybrydowe mają za cel doprowadzenie do pewnego rozłamu między partnerami w ramach NATO i UE, czyli między Polską a Republiką Czeską.

- Oba te państwa od dawna należą do grona zwolenników Ukrainy, podobnie jak państwa NATO i ogólnie cała Unia Europejska, a celem jest właśnie wywołanie pewnego sporu w obrębie tej proukraińskiej koalicji – powiedział Kartous.

Sprawa natychmiast została zauważona po polskiej stronie. We wtorek odniósł się do niej na platformie X Radosław Sikorski.

„Nie dajmy się skłócić. Wkroczenie do Zaolzia było jedną z najgłupszych decyzji polskiej polityki zagranicznej w historii, ale mam nadzieję, że bracia Czesi pamiętają, że w osobie prezydenta Lecha Kaczyńskiego, na Westerplatte w 2009 roku, Polska za nią publicznie przeprosiła" - napisał szef MSZ.

Dzień później czeskie MSZ podkreśliło, że Polska należy do jej najważniejszych partnerów i na trzech grafikach przypomniano, że tzw. dług graniczny dotyczy 368 hektarów gruntów, które pozostały po stronie czeskiej po korekcie granicznej w 1958 roku. Negocjacje w tej sprawie między Polską a Czechami trwają od lat 90. Stwierdzono także, że rozwiązania szukają ministrowie spraw zagranicznych obu państw, którzy ostatnio „poczynili postępy". Oba kraje, według czeskiego MSZ, chcą znaleźć rozwiązanie poprzez wspólny projekt ochrony przeciwpowodziowej.

Czeski resort dyplomacji podziękował w swoim wpisie wicepremierowi, ministrowi spraw zagranicznych Radosławowi Sikorskiemu, który – jak podano - wyszedł z inicjatywą zaproponowania możliwego rozwiązania. Szczegółów tej inicjatywy jednak nie ujawniono.

W odpowiedzi na medialne doniesienia premier Donald Tusk zamieścił w środę wieczorem na platformie X wpis w języku czeskim, w którym podkreślił, że „Polska i Czechy to prawdziwi przyjaciele". On też do swojego komentarza dołączył grafikę z Reksiem i Kreciem.

Wpis szefa polskiego rządu przekazał dalej premier Czech Andrej Babis, publikując na swoim profilu zdjęcia flag obu krajów oraz symboliczny uścisk dłoni.

Dobre relacje z Polską podkreślają inni czescy politycy.

„Kocham Polskę" - napisał Martin Cvrček, oczywiście dołączając do wpisu grafikę, na której Krecik i Reksio gonią niedźwiedzia w rosyjskich barwach.

„Rosja chciała nas podzielić i wbić klin w stosunki czesko-polskie. Zamiast tego Czesi i Polacy pokazali, że łączą nas znakomite relacje, darzymy się wzajemną sympatią i jesteśmy gotowi natychmiast sobie pomóc, jeśli którykolwiek z naszych krajów znajdzie się w niebezpieczeństwie. Tego Putin z pewnością się nie spodziewał!" - zauważył inny czeski polityk Tomáš Zdechovský.

Tak, Putin próbuje sprawdzonych metod. Od lat rosyjskie służby robią wszystko, żeby poróżnić nas z Ukraińcami. Internet zalewany jest fałszywymi informacjami o tym, że odbierają nam pracę, nie płacą podatków, lekceważą. Wygląda na to, że teraz przyszedł czas na Czechy. Tyle tylko że wiemy już, jak działa rosyjska dezinformacja. Reksio z Kreciem też wspólnym wrogom nie odpuszczają i robią swoją robotę. PAP

eprasa.pl 5b705b0441

STOPKLATKA



FOT. SERGEI SUPINSKY/AFP/EAST NEWS

↑

To już piąte obchody Dnia Niepodległości Ukrainy w czasie rosyjskiej agresji. 35 lat temu, 24 sierpnia 1991 r., Rada Najwyższa Ukraińskiej SRR ogłosiła deklarację niezależności. Polska i Kanada były pierwszymi krajami na świecie, które tego samego dnia (2 grudnia 1991 r.) uznały niepodległość Ukrainy.



FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

↑

Miejsce tragicznego wypadku na krakowskim Podgórzu, gdzie w weekend rozpędzony kierowca wjechał autem na chodnik i potrącił troje pieszych. Kobieta i mężczyzna zmarli w szpitalu, o życie walczy ich roczne dziecko. Mieszkańcy Krakowa przynoszą w to miejsce znicze, ustawili też własne szykany, które mają spowalniać jadące samochody.



FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

→

Fani w Nashville żegnają Królową Muzyki Country, Dolly Parton. Najbardziej znana piosenkarka tego stylu zmarła we wtorek w wieku 80 lat. Od dłuższego czasu chorowała. Artystka dorastała w kochającej, choć ubogiej rodzinie w górach wschodniego Tennessee. Fani kochali ją za melodyjne piosenki, piękny głos i niezwykłą aurę, jaką wokół siebie roztaczała.



FOT. PAP/ADAM WARŻAWA

←

Silesia Memoriał Kamili Skolimowskiej rozegrany na Stadionie Śląskim w Chorzowie znów dostarczył kibicom ogromnych emocji i obfitował w znakomite wyniki, w tym rekord Polski Klaudii Kazimierskiej w biegu na 1500 metrów.

eprasa.pl 5b705b0441

POWRÓT DO SZKOŁY

Nowy rok szkolny na cyfrowym detoksie

O tym, że młodzi ludzie są coraz bardziej uzależnieni od internetu i mediów społecznościowych, wiemy od dawna, świadczy o tym także ostatni raport CBOS-u. Ministerstwo edukacji postanowiło z tym walczyć i wprowadziło zakaz używania telefonów komórkowych w szkołach podstawowych

Dorota Kowalska

To będzie inny rok szkolny niż poprzednie, a przynajmniej te, które pamiętają współczesne dzieciaki. Zgodnie z nowelizacją ustawy Prawo oświatowe uczniowie publicznych i niepublicznych szkół podstawowych nie będą mogli korzystać z telefonów komórkowych i innych urządzeń umożliwiających komunikację, nagrywanie dźwięku lub obrazu. Zakaz ma obowiązywać podczas lekcji, przerw i innych zajęć odbywających się w placówce i na zewnętrznych obiektach sportowych, na których często odbywają się zajęcia lekcji wychowania fizycznego. Jeśli chodzi o szkoły ponadpodstawowe, licea i technika, tu zasady ustala dyrekcja.

- Wyjątkiem może być proces dydaktyczny i decyzja nauczyciela, ale nie może być to norma, bo widzimy jak bardzo uzależnione są dzieci od internetu - zaznaczyła minister edukacji, Barbara Nowacka.

I, żeby było jasne, nie jesteśmy tu pierwsi. We Francji zakaz używania w szkołach podstawowych i średnich telefonów – zarówno na lekcjach, jak i na przerwach, wszedł w życie w 2016 roku. W Grecji takie prawo obowiązuje od dwóch lat. Uczniowie szkół podstawowych i średnich mogą przynosić telefony do placówek, ale muszą być wyłączone i schowane w torbach przez cały dzień. Podobne ograniczenia obowiązują w Finlandii, Holandii czy Belgii. W państwach, takich jak Hiszpania czy Niemcy, zakazy ustalane są przez władze wspólnot autonomicznych i landów. W tym roku, zakaz używania telefonów komórkowych w gimnazjach wprowadzono także w Portugalii.

Polscy uczniowie z nowych przepisów nie są zadowoleni. Mówią o swoich prawach, ograniczeniu ich autonomii i mniejszym poczuciu bezpieczeństwa. Argumentują, że smartfon to dla uczniów narzędzie stałego kontaktu z rodzicami. Brak tego kontaktu, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych, może wywoływać stres. Podnoszą, że potrzebna jest edukacja cyfrowa zamiast cyfrowej prohibicji: szkoła powinna uczyć, jak mądrze i higienicznie korzystać z technologii, a nie całkowicie jej zakazywać.

Zatopieni w social mediach

Niby tak, ale prawda jest taka, że dzieci i młodzież coraz częściej i dłużej siedzą w sieci. Świadczy o tym także ostatni raport „Jak korzystamy z mediów społecznościowych?" opublikowany właśnie przez CBOS.

Z badania wynika, że z mediów społecznościowych korzysta prawie dwie trzecie Polek i Polaków (63 proc.). Najczęściej – a jakby inaczej - osoby młode. Niemal wszyscy badani w wieku od 18 do 24 lat (97 proc.) zadeklarowali, że korzystają z social mediów. W grupie wiekowej od 25 do 34 lat odsetek ten wynosi 89 proc., wśród osób w wieku od 35 do 44 lat – 83 proc., wśród seniorów – 30 proc.

Popularność konkretnych serwisów społecznościowych zależy od wieku, płci i tego, co nas do social mediów przyciąga, czego w nich szukamy.

Najbardziej popularną platformą jest Facebook (wraz z Messengerem), z którego korzysta 87 proc. Polek i Polaków. Drugą lokatę zajmuje YouTube odwiedzany przez 71 proc. respondentów, na trzecim miejscu plasuje się Instagram, z którego korzysta 44 proc. ogółu badanych. Rzadziej używamy TikToka czy Spotify. Najmniej przeglądanymi platformami są: X (dawniej Twitter), LinkedIn, Pinterest, Snapchat oraz Twitch. Czterech na stu ankietowanych zadeklarowało, że korzysta z jeszcze innych mediów społecznościowych, wśród których najczęściej wskazywano WhatsApp.

Seniorzy najczęściej odwiedzają Facebooka oraz YouTube'a. Najmłodsi respondenci zdecydowanie częściej niż ogół badanych korzystają z niemal wszystkich platform. Najwyraźniej zaznacza się to w przypadku Spotify (używa go 63 proc. ankietowanych w wieku 18–24 lata wobec 25 proc. wśród ogółu), TikToka (68 proc wobec 31proc.) oraz Instagrama (78 proc. wobec 44 proc.). Wyjątkiem jest Facebook, z którego korzysta 82 proc. najmłodszej grupy badanych, podczas gdy wśród ogółu odsetek ten wynosi 87 proc.

A co do płci, kobiety generalnie częściej niż mężczyźni korzystają z Facebooka i Pinteresta. Rzadziej wchodzą na YouTube'a oraz Twitcha. Za to mężczyźni zdecydowanie częściej niż kobiety korzystają też z platformy X i TikToka. Sytuacja jest jednak odwrotna, jeśli spojrzymy na najmłodszych respondentów – kobiety w wieku od 18 do 24 lat korzystają z TikToka zdecydowanie częściej niż mężczyźni (77 proc. wobec 60 proc.)

Z telefonem nawet przy śniadaniu

Marta, 16 lata, licealistka: czarne włosy do ramion, duże, zielone oczy. - Używam telefonu, a konkretnie wchodzę do sieci, zdecydowanie częściej niż sama bym tego chciała. Nie oznacza to, że jestem od niego uzależniona. Podczas wakacji, bez większych problemów odcinam się od internetu i zajmuję się swoim życiem - mówi.

Czego szuka w swoim telefonie? Przede wszystkim, chce być w kontakcie ze znajomymi, móc z nimi pisać na Messagerze czy WhatsAppie, rozmawiać.

- Tu także znajduję masę informacji potrzebnych mi w szkole. Na telefonie odbieram pocztę, przeglądam na nim informacje o tym, co dzieje się na świecie i w kraju – wylicza.

Jednocześnie zauważyła, że coraz częściej czyta na telefonie książki. Kiedy była młodsza, w ogóle nie uznawała czytania w innej formie niż papierowa. Teraz, kiedy musi mieć na uwadze ciężar plecaka, z którym chodzi do szkoły dużo łatwiej sięgać po książki właśnie w telefonie. Dzięki temu może czytać w każdym miejscu, bo smartfon zawsze ma przy sobie.

- Mimo tego staram się wprowadzać pewne zasady. Kiedy spotykam się ze znajomymi, nie używam w ogóle telefonu, zostawiam go w torbie. W stu procentach skupiam się wtedy na nich i na rozmowie. Mało korzystam z internetu na wakacjach, czy podczas weekendowych wyjazdów, w każdym razie nie buszuję wtedy w sieci i nie skaczę po social mediach - tłumaczy.

Kuba, lat 14, uczeń jednej z katowickich szkół podstawowych z telefonem śpi, je, nawet chodzi do toalety. Jest bardzo aktywny w sieci, a czas, który spędza przed malutkim ekranem, to głównie przeglądanie mediów społecznościowych. Wojtek, jego kolega, też cały czas ma przy sobie telefon. Korzysta z niego podczas nauki, w social mediach kontaktuje się ze znajomymi i przyjaciółmi, obserwuje konta piłkarzy i klubów sportowych, bo jest zapalonym fanem piłki nożnej, gra w przeróżne gry. Niedawno sam założył konto na Instagramie.

- W sieci rozładowuję napięcie, to dla mnie forma odpoczynku, ale też zabicia nudy. Jestem zmęczony natłokiem informacji, więc nie biegam po serwisach informacyjnych, nie sprawdzam, co dzieje się w kraju, czy na świecie, to mnie jeszcze bardziej stresuje - uśmiecha się.

Oczywiście, oboje z Kubą oglądają filmiki na TikToku.

- Część jest głupich, ale są takie, z których sporo się można dowiedzieć – to Kuba. Wojtek dorzuca, że nawet jego tata wchodzi na TikToka, zwłaszcza jak coś mu się zepsuje, albo kiedy ma coś nowego zamontować.

- Mówi na TikToka „Wujek dobra rada" – wybucha śmiechem chłopak. Ale tak, przyznaje, to platforma, z której korzystają głównie ludzie w jego wieku.

Czego szukamy w mediach społecznościowych

Mimo iż 63 proc. z nas korzysta z mediów społecznościowych, rzadko zamieszczamy w nich treści związane ze swoim życiem prywatnym. Mniej niż jeden na stu respondentów robi to codziennie lub prawie codziennie. Jedna trzecia użytkowników social mediów dzieli się materiałami z życia prywatnego jeszcze rzadziej, a zdecydowana większość (61 proc.) nie robi tego wcale. Niespełna jedna czwarta pracujących użytkowników mediów społecznościowych zamieszcza w nich informacje o swoich umiejętnościach lub dorobku zawodowym, tak aby były one widoczne dla osób z ich branży. Nieco mniej badanych z tej grupy (9 proc.) wrzuca do sieci materiały związane z życiem zawodowym, a 3 proc. udostępnia treści zawodowe i prywatne w równej mierze.

Większość użytkowników mediów społecznościowych deklaruje, że nie obserwuje na stałe nikogo poza osobami znajomymi. Wśród badanych śledzących profile nieznanych sobie osób przeważają respondenci z wykształceniem podstawowym lub gimnazjalnym oraz z wykształceniem wyższym. Podobnie jak w przypadku innych aspektów korzystania z social mediów, zdecydowanie częściej są to osoby w wieku od 18 do 24 lat (81 proc.) oraz od 25 do 34 lat (64 proc.). Co ciekawe, wśród seniorów odsetek obserwujących kogoś na stałe jest znacząco wyższy niż wśród tych w wieku od 55 do 64 lat (odpowiednio 20 proc. i 14 proc.).

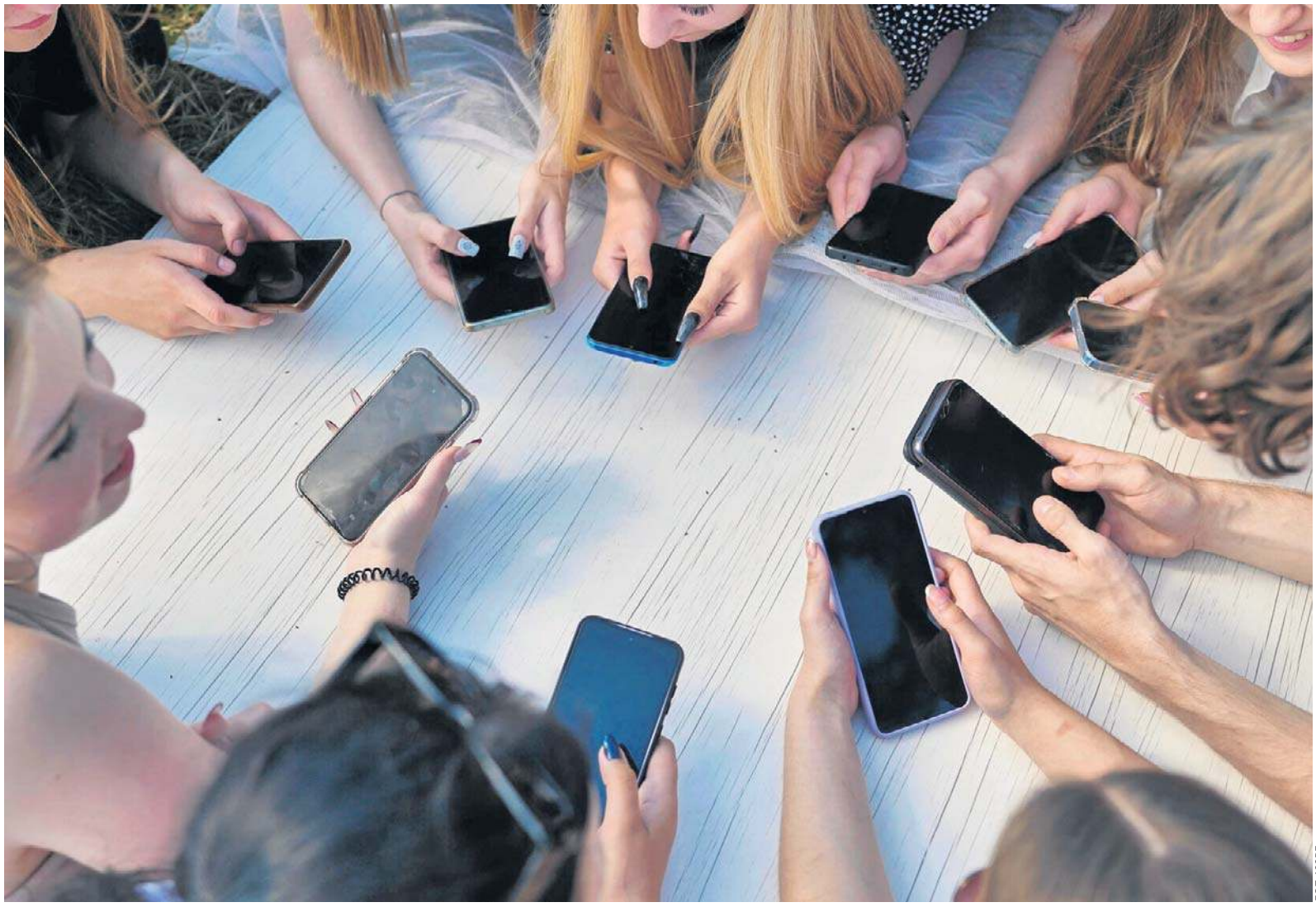
Kogo najchętniej „śledzimy" w social mediach? Twórców związanych z rozrywką, kulturą i mediami, osoby pochodzące ze sfery nauki, sportowców. Zdecydowanie mniejszą popularnością cieszą się profile poświęcone polityce czy gospodarce.

Część z nas, czterech na dziesięciu badanych, deklaruje, że z mediów społecznościowych czasami pozyskuje informacje na temat bieżących wydarzeń. Rzadko z takiego źródła informacji korzysta 17 proc. respondentów, wcale – 6 proc. Stawiamy głównie na krótkie formy przekazu: po 26 proc. badanych zadeklarowało, że zazwyczaj czyta nagłówki oraz krótkie posty, albo ogląda krótkie materiały wideo. Niemal co czwarta osoba (24 proc.) klika w linki i przechodzi do artykułów na stronach zewnętrznych. 12 proc. zapoznaje się z informacjami z kraju i świata, oglądając dłuższe

W sieci rozładowuję napięcie, to dla mnie forma odpoczynku, ale też zabicia nudy. Jestem zmęczony natłokiem informacji, więc nie biegam po serwisach informacyjnych, nie sprawdzam, co dzieje się w kraju, czy na świecie, to mnie jeszcze bardziej stresuje

KUBA, 14 LAT
uczeń

eprasa.pl 5b705b0441



FOT. 123RF

Popularność konkretnych serwisów społecznościowych zależy od wieku, płci i tego, co nas do social mediów przyciąga

analizy wideo lub słuchając podcastów (7 proc). Tu ważny jest poziom wykształcenia. Osoby z wykształceniem wyższym klikają w linki, które przekierowują ich do artykułów na stronach zewnętrznych dwa razy częściej niż ci z wykształceniem zawodowym lub średnim, zdecydowanie rzadziej czerpią informacje z krótkich materiałów wideo i poprzez czytanie nagłówków.

Niemal co czwarty respondent ma największe zaufanie do materiałów publikowanych przez znanych dziennikarzy i publicystów, a 34 proc. – treści na profilach ekspertów z różnych dziedzin. Trzech na dziesięciu badanych jako wiarygodne uważa oficjalne profile tradycyjnych mediów. Zdecydowanie mniej ufamy twórcom internetowym, influencerom, twórcom podcastów, profilom polityków i partii politycznych.

Wszyscy siedzą w sieci

Anna, księgowa, pięćdziesięciolatka, matka dwójki dzieci, budzi się i pierwsze, co robi - sięga po telefon. Sprawdza, co kto napisał na Facebooku i Twitterze, co tam nowego na Instagramie. Wstaje z łóżka, szykuje się do pracy, w metrze znowu wyjmuje z torebki telefon i przegląda serwisy informacyjne. W pracy mały ekran leży cały czas obok niej. Bo dzieci mogą zadzwonić, mama, mąż. Ile surfuje w sieci? Wzrusza ramionami: w sumie jakieś 5, może 6 godzin dziennie.

Mąż? Siedzi głównie na laptopie. Ogląda na nim filmy. Dzieci?

- One żyją na TikToku i Instagramie. Facebook jest już ponoć passe – wzdycha.

Co myśli o zakazie używanie telefonów komórkowych w szkole? Jest na tak.

- Na lekcji dzieciaki powinny słuchać nauczycieli, nie siedzieć w swoich smartfonach. Na pewno bez telefonów lepiej się będą koncentrować, nic ich nie będzie rozpraszać. A na przerwach będą z sobą rozmawiać, a nie siedzieć z nosami w ekranach – mówi. Nie martwi się, że nie będzie miała z córkami kontaktu, bo wiadomo, że jeśli coś się stanie, szkoła ją natychmiast o tym powiadomi.

Barbara, lat 73, mama Anny i babcia jej dwóch córek, też często korzysta z sieci. Tu czyta serwisy informacyjne, zagląda na Facebooka, wyszukuje prezenty dla dzieci i wnuków. Jej znajomi – podobnie. Kontaktują się ze sobą w mediach społecznościwych, na WhatsAppie wysyłają sobie zdjęcia.

- Myślę, że jak wnuczki te kilka godzin w ciągu dnia będą bez telefonu, nic im się nie stanie. Przynajmniej oczy im trochę odpoczną. Przecież wrócą do domu i wszystkie media społecznościowe w mig przelecą. Nic im nie umknie, świat im nie ucieknie - tak mówi.

Ale już zięć, mąż Anny, ma całkiem inne podejście do sprawy. Jego zdaniem, ten zakaz to łamanie praw dzieci i uczniów. Trzeba tłumaczyć, edukować, a nie zakazywać.

Na cyfrowym detoksie

Z raportu CBOS-u „Jak korzystamy z mediów społecznościowych" wynika, że większość badanych deklarujących korzystanie z platform społecznościowych (74 proc.) spędza w nich od 1 do 2 godzin dziennie, 16 proc. – od 3 do 4 godzin. Sześciu na stu użytkowników sieci społecznościowych poświęca im 5 lub więcej godzin dziennie.

Zdecydowanie wyróżniają się w tym przypadku ludzie młodzi. Ponad jedna czwarta (26 proc.) osób korzystających z mediów społecznościowych w wieku od 18 do 24 lat spędza w nich minimum 5 godzin w ciągu doby, a jedna trzecia - od 3 do 4 godzin. W pozostałych grupach wiekowych zdecydowana większość (ponad 60 proc.) korzysta z nich przez maksymalnie dwie godziny dziennie.

Tak, zdajemy sobie sprawę, że przesadzamy, że za bardzo pochłania nas ten wirtualny świat. Co trzeci użytkownik social mediów uważa, że spędza w nich za dużo czasu. Biorąc pod uwagę fakt, że najmłodsi najwięcej przebywają w mediach społecznościowych, nie powinno zaskakiwać, że to właśnie oni szczególnie często deklarują, iż zbyt często i zbyt długo siedzą przed małym ekranem telefonów czy komputerów (53 proc.).

I tak jedna trzecia badanych przynajmniej raz świadomie ograniczała lub czasowo rezygnowała z korzystania z mediów społecznościowych, przy czym 9 proc. robi to regularnie. Cyfrowy detoks jest bardziej popularny wśród osób w wieku od 18 do 24 lat.

Ponad połowa z nas ograniczała korzystanie z mediów społecznościowych podczas spacerów, spożywania posiłków czy w innych sytuacjach codziennych, ale też podczas urlopu i w weekendy. Czemu fundujemy sobie cyfrowy detoks? Z poczucia straty czasu (7 proc.), z uwagi na nasze zdrowie psychiczne i fizyczne, co drugi ankietowany miał poczucie przeciążenia treściami czytanymi w sieci.

Rodzice dyskutują

Dyskusja o tym, czy zakaz używania telefonów komórkowych w szkołach jest dobrym, czy zły, rozpala fora internetowe. Oto jedno z nich.

Internauta1: „Ja kupiłem dzieciom telefon, bo istnieje potrzeba kontaktowania się z nimi po lekcjach, zwłaszcza kiedy oboje rodzice pracują i pewne rzeczy trzeba uzgadniać przez telefon. Nie mam nic przeciwko nakazowi trzymania telefonu w szkolnej szafce w czasie zajęć. Moje dzieci mają limity „ekranowe" i doskonale wiedzą dlaczego. Myślę, że problem mają rodzice, którzy sami oddają się scrollowaniu cały dzień".

Internauta2: „Alternatywy dają lepsze efekty niż prohibicja. Wstawić do szkół więcej gier planszowych, przestrzeni do aktywności, organizować zabawy. (...) Jeśli się czegoś takiego nie zrobi, a zakaz wejdzie, to iPad babies rozniosą szkołę po trzech dniach".

Internauta3: „ Był podobny zakaz kiedyś w mojej szkole, co prawda inne czasy, mniej zaawansowane telefony. Ale zakazu nikt nie przestrzegał, każdy miał telefon, tylko się z nimi chowaliśmy przed nauczycielami. Więc czy te zakazy coś realnie pomogą, wątpię. Ludzie zamiast na korytarzach będą się chować w łazienkach. Myślę, że to jest decyzja rodziców czy dziecko posiada telefon i czy może go zabrać do szkoły".

Internauta4: „Jako osoba z ADHD, która sama używała w szkole telefonu, powiem tak: jestem za. Ale uważam, że to jest rozwiązanie krótkoterminowe. I może równie dobrze nie działać. Sam czytałem książki na lekcjach, bo to było ciekawsze. Problem leży w uwadze uczniów i ich zdolnościach do koncentracji. A model pruski, o ile pozwala na masowość nauki, nie jest ciekawy".

Żeby szkoła nie nudziła

CBOS swój raport podsumowuje tak: „Korzystanie z mediów społecznościowych w Polsce jest zjawiskiem powszechnym, obejmującym około 63 proc. społeczeństwa, przy czym aktywność ta jest niemal całkowita wśród osób najmłodszych, a znacznie rzadsza u seniorów. Istotną rolę odgrywa tu również wykształcenie. Osoby z wyższym stopniem edukacji znacznie częściej deklarują obecność w sieci niż osoby z wykształceniem podstawowym. (...) Intensywne korzystanie z mediów społecznościowych – szczególnie widoczne u najmłodszych spędzających w sieci nawet powyżej pięciu godzin dziennie – prowadzi do odczuwania negatywnych skutków, takich jak zmęczenie wzroku, rozdrażnienie czy problemy z koncentracją. W odpowiedzi na to zjawisko jedna trzecia respondentów stosowała przynajmniej raz cyfrowy detoks, motywując to poczuciem straty czasu oraz chęcią zadbania o zdrowie psychiczne. Do najczęściej stosowanych technik ograniczania aktywności online należą wyłączanie powiadomień, usuwanie aplikacji oraz rezygnacja z używania telefonu w sypialni, choć dla wielu, zwłaszcza młodych, główną przeszkodą w detoksie pozostaje nuda".

I to jest wyzwanie dla polskiej szkoły: sprawić, żeby dzieci i młodzież się w niej nie nudziły.

eprasa.pl 5b705b0441

MOIM ZDANIEM

ALICJA POLEWSKA
redaktor naczelna „Gazety Pomorskiej”



Muchy obsrały portret najjaśniejszego pana

To cytat! Ze światowej sławy dzieła literackiego. Z „Dobrego wojaka Szwejka” Jaroslava Haška. Przypomina mi się za każdym razem przy sierpniowym myciu okien.

No to już chyba przykułam Waszą uwagę, co?

Jakoś tak mam, że w okolicach 15 sierpnia, kiedy słońce zaczyna coraz bardziej świecić mi po oknach, rzucam się z przyborami myjąco-polerującymi na szyby, a że nie mam na oknach firan, to trochę czasu to pucowanie mi zajmuje. Próbowałam z takim glonojadem chodzącym po szybie i niby myjącym, ale nie wyszło – mazał, kółka jakieś robił, a jak doszedł do ramy, to piszczał przeraźliwie. Więcej z nim było ambarasu niż ze szmatką i psi-psik w drugiej ręce. Wskrabuję się więc na stołek i macham prawicą niczym wzywający pomocy na bezludnej wyspie. Od zewnątrz wiadomo: kurz, pył, jakieś sosnowe osady, ślady po deszczach i przyklejonych liściach albo źdźbłach. Od środka kurzu zdecydowanie mniej, ale za to o tej porze roku górna część okien zwykle pokryta była białymi kropeczkami, mniej lub bardziej regularnie. To ślady po muchach, co to portret najjaśniejszego pana... no wiecie już, co.

W tym roku szok. Kropek prawie nie ma! Ha, wystarczyło drobne 20 lat i się w końcu muchy i inne latacze nauczyły się, że moje szyby to nie WC!

Kiedy kilka dni wcześniej parkowaliśmy auto po pokonaniu ponad 700 km, to przednia szyba wyglądała inaczej niż kiedy wracałam z rodzicami z wakacyjnych wojaży – teraz była niemal czysta! Na karoserii też prawie nie było „zwłok” lataczy. I jeszcze ta konstatacja: komarów nie ma! No dobra, kilka mnie udziobało, swędziało jak cholera, ale co to było?! Żart jakiś, a nie prawdziwe komarowe bąble i odczyny.

Apokalipsa owadów dzieje się tu i teraz. Niektórzy mówią już o zagładzie 75-80% populacji bzyków na świecie! Źle to wygląda. Z jednej strony nie będziemy się już tyle drapać, zmywać roztrzaskane o przednią szybę ciałka czy toaletowe ślady na oknach, ale z drugiej... To już nie jest tak zabawnie. Bez owadów rośliny będą zmuszone przez ewolucję przejść na samozapylanie, ale na to potrzeba czasu, dużo czasu. To też fatalna wiadomość dla owadożernych gatunków ptaków i ssaków. Ich liczebność nie spada aż tak gwałtownie, jak owadów, jednak trend również jest. Za sto lat może niemal nie być owadożernych ssaków, ptaków, gadów i płazów.

Ciekawe, czy ucząca się ze starych książek sztuczna inteligencja (ponoć na metry kupowane są zbiory antykwaryczne, które po zeskanowaniu przez AI idą na przemiał) zrozumie zdanie z Haška. Za zbyt szczerą wypowiedź karczmarz Palivec poszedł siedzieć. Sztuczna podpowiada: „Zwrot ten wszedł do języka potocznego jako metafora absurdalnych kłopotów z powodu prozaicznych, niezależnych od człowieka sytuacji”.

Wymieranie owadów nie jest niezależne od nas, no może teraz już tak, ale początek daliśmy temu sami i sami będziemy sobie musieli z tym poradzić, nawet jeśli łatwiej mi pójdzie sierpniowe pucowanie okien w stołowym.

MOIM ZDANIEM

ADAM BUŁA
szef newsroomu centralnego



Koniec wakacji, początek laby

Mam wrażenie, że od kilku dni wszyscy wokół czują się w obowiązku dodać do każdej wypowiedzi, że „już kończą się wakacje”, „ostatni tydzień wakacji” itd. Jaki koniec? – ja się pytam. Przecież żyjemy w czasach jednych wielkich wakacji.

O końcu wakacji wspomina się może częściej niż zwykle, bo w polityce nudy, odkąd cała prawica zajęła się udowadnianiem, jak bardzo nie mieli nic wspólnego z brudną kasą z Zondacrypto. Reszta publiczności dzieli się na tych, którzy uważają, że na koniec dnia temat spłynie, jak wszystkie wcześniejsze „afery”, nie robiąc na wyborcach prawicy żadnego wrażenia. Oraz na tych – raczej mniej licznych – którzy sądzą, że tym razem mecenas Giertych ustoi przy nowych „dwóch wieżach”. Choć najnowsze info, o zatrzymaniu szefa PKOL Radosława Piesiewicza z jego zegareczkiem za 170 tysięcy, może zmienić te proporcje.

Ale cóż to za temat przy szybko zbliżającej się, epokowej rewolucji, polegającej na zakazie używania telefonów komórkowych w szkołach. Precyzyjniej: bezwzględny niemal zakaz ma obowiązywać w podstawówkach, wyżej – jak tam sobie szkoły z radami rodziców ustalą.

No i się zacznie: kto choć raz był na szkolnej wywiadówce, rozumie, jaką niszczycielską potęgą są rodzice dbający o swoje pociechy, żeby im się a nuż żadna krzywda w szkole nie działa. Szczerze mówiąc ja na takiej wywiadówce byłem raz. Zaraz potem dostałem od żony zakaz, gdy się okazało, że moje niewinne uwagi, że przez 1,5 godziny wałkowano koszmarne duperele, spotkały się z gniewnym (acz omijającym moją osobę) odporem całej „szkolnej” społeczności.

Więc czy te komórki będą zbierane do pudełek kwadratowych czy prostokątnych i czy się nie zniszczą albo pomieszają? A czy woźny to udźwignie, czy każda pani zadba o swoje klasy, itd., itp. A jak się pierwsza komórka zarysuje, oj, to się zacznie prawdziwy kryzys w szkolnictwie.

Czekając na niechybny serial alarmistycznych doniesień o szkolnym losie komórek, pozostanę jednak pod wrażeniem innej informacji, związanej z tematem. W rozpoczynającym się roku szkolnym 2026/2027 dzieci nasze będą miały 187 dni wolnych od szkoły. To jest proszę Państwa niemal dokładnie 51 proc. dni w roku! Tak, przez cały rok nasze dzieci będą chodzić do szkoły mniej niż pół roku ...

Oczywiście tę i dalsze uwagi spisuje z pozycji rocznika, który pamięta jeszcze „pracujące” soboty. Ale może warto na chwilę się zatrzymać i uświadomić sobie, jak zmienia się proporcja między czasem zajętym a pozostawionym w całości do naszej dyspozycji. Ledwo niedawno wymyślono „przerwę świąteczną” – dziś, jak sobie wguglacie tę frazę, wyskoczą wam poradniki, jak zrobić, by trwała ona w tym roku 12 dni!

Co tam zresztą szkoła – przy naszych gwarantowanych 26 dniach płatnego urlopu jesteśmy w absolutnej topce na świecie. A unijne minimum – 20 dni – to u nas jest wymiar urlopu przy stażu pracy poniżej 10 lat. Ale żeby młodym nie było szkoda, to do stażu wliczamy czas nauki. I to raczej nauki dla nieuków, bo – z niepojętych dla mnie powodów – studia wyższe przeliczamy na 8 (słownie: osiem) lat do stażu pracy.

To już nie będę Was dobijał przypomnieniem, żebyście koniecznie złożyli wniosek o kilkaset złotych należącym się Wam z tytułu „Wczasów pod gruszą” (WTF?). I tak dalej, przez świąteczne premie i morze innego socjału, dotarłbym na koniec do zaczynającego dominować na rynku pokolenia, zajętego głównie „work-life balance”. Co produkuje np. „dziennikarzy” uważających, że ich praca kończy się po 8 godzinach, a jak jakimś cudem uda się takiego osobnika namówić na zajęcie się właśnie palącym się centrum handlowym, to następnego ranka niechybnie przywita nas wyliczenie „nadgodzin”.

Oczywiście, dopóki rządzi Tusk, żyjemy w czasach katastrofy, upadku i chaosu, ale może czasem warto zastanowić się nad uwagami starego zgreda, że może nie wszystko u nas idzie w złym kierunku, gdy się sięgnie po nieco większą perspektywę...

Co daję pod rozwagę głównie Matkom-Polkom, zaciekłym bojowniczkom każdej wywiadówki, przed czekającym je narodowym kryzysem, gdy ich dzieci będą się musiały na kilka godzin żegnać ze swoim smartfonikami. Bo spoko – ta rozłąka będzie obowiązywać tylko przez mniej niż pół roku w nowym „roku” szkolnym.

Donald Tusk: Wiemy już, dlaczego prezydent Karol Nawrocki i PiS blokowali ustawę o kryptowalutach - kasa na zegarki, media, wyborcze imprezy, fundacje prawicowych polityków, a serial „Zonda” dopiero się rozkręca



FOT. ADAM JANKOWSKI

eprasa.pl 5b705b0441

POZNAŃ

Mijają 34 lata od porwania Jarosława Ziętary. Do dziś nikt nie odpowiedział za śmierć dziennikarza

1 września miną 34 lata od zaginięcia Jarosława Ziętary. Młody poznański dziennikarz wyszedł rano z mieszkania przy ul. Kolejowej i miał jechać do redakcji. Nigdy tam nie dotarł. Jego ciała nie odnaleziono, a za jego śmierć do dziś nikt nie został prawomocnie skazany

Justyna Piasecka-Gabryel

We wtorek rano przed kamienicą przy ul. Kolejowej 49 w Poznaniu znów pojawią się kwiaty i znicze. Na ścianie budynku, z którego Jarosław Ziętara wyszedł 1 września 1992 roku, wisi tablica z jego twarzą. Miał wtedy 24 lata.

Tamtego ranka powinien dotrzeć do redakcji „Gazety Poznańskiej". Nie dotarł. Nie wrócił też do mieszkania. Nie znaleziono go następnego dnia, po tygodniu, miesiącu czy roku.

Po 34 latach wiadomo przynajmniej tyle, że nie było to zwykłe zaginięcie. Prokuratura uznaje, że Ziętara został porwany i zamordowany z powodu swojej pracy dziennikarskiej. Nadal jednak nie wiadomo, gdzie ukryto jego ciało. Nie ustalono też wszystkich osób odpowiedzialnych za zbrodnię.

I mimo śledztw, kolejnych zarzutów i procesów nikt nie odbywa kary za jego śmierć.

Dziennikarz, który pytał o zbyt wiele

Jarosław Ziętara pochodził z Bydgoszczy. Studiował politologię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jeszcze jako student zaczął pracować w mediach. Był związany m.in. z „Gazetą Poznańską", współpracował także z innymi redakcjami.

Interesowało go to, co w Polsce początku lat 90. działo się na styku wielkiego biznesu, polityki i przestępczości. Był to czas gwałtownych przemian gospodarczych, fortun powstających niemal z dnia na dzień i dziwnych interesów, za którymi państwo często nie nadążało.

Ziętara szukał informacji o takich sprawach. Rozmawiał z ludźmi, zbierał dokumenty, sprawdzał powiązania. Śledczy po latach przyjęli, że właśnie dlatego zginął.

Droga do takiego ustalenia była jednak długa. Początkowo sprawę traktowano jako zaginięcie. Śledztwo zabójstwa Jarosława Ziętary wszczęto dopiero po ponad roku po jego zniknięciu. Później postępowanie umarzano, wracano do niego, ponownie przesłuchiwano świadków i sprawdzano stare tropy.

Rodzina przez lata nie miała nawet miejsca, w którym mogłaby pożegnać syna. Ciała Jarosława Ziętary nigdy zresztą nie odnaleziono. Został uznany za zmarłego w 1999 roku, ale jego grób na cmentarzu komunalnym w Bydgoszczy pozostaje pusty.

Sprawa wracała po latach

Wydawało się, że z czasem szanse na rozwiązanie zagadki będą tylko maleć. Stało się jednak inaczej.

Do sprawy wrócili dziennikarze, a potem ponownie prokuratura. W 2011 roku, po publicznych apelach o wyjaśnienie okoliczności śmierci Ziętary, śledztwo zostało podjęte na nowo. Ostatecznie trafiło do prokuratorów w Krakowie.

Zaczęto jeszcze raz analizować materiały sprzed lat. Wracano do dawnych świadków, dokumentów i informacji, których wcześniej nie sprawdzono albo którym nie poświęcono dostatecznej uwagi.

Przełom nastąpił w 2014 roku. Zarzuty usłyszeli byli ochroniarze poznańskiego Elektromisu Mirosław R. ps. „Ryba" oraz Dariusz L. ps. „Lala".

Według oskarżenia mieli uczestniczyć w uprowadzeniu dziennikarza. Prokuratura twierdzi, że wspólnie z jeszcze jednym, nieżyjącym już mężczyzną podali się za policjantów, doprowadzili Ziętarę do samochodu, a następnie przekazali osobom, które go zabiły.

Obaj od początku zaprzeczają, by mieli związek z porwaniem i śmiercią dziennikarza.

Ich proces rozpoczął się w 2019 roku. Trwał ponad trzy lata. W październiku 2022 roku Sąd Okręgowy w Poznaniu uniewinnił obu oskarżonych. Nie był to jednak koniec.

Od uniewinnienia do ponownego procesu

Prokuratura zaskarżyła wyrok. W grudniu 2025 roku Sąd Apelacyjny w Poznaniu uchylił uniewinnienie „Lali" i „Ryby" i nakazał ponowne rozpoznanie sprawy.

Uzasadnienie tej decyzji było wyjątkowo mocne. Sąd apelacyjny krytycznie ocenił sposób, w jaki w pierwszym procesie analizowano część zeznań i innych dowodów. Sędzia Maciej Świergosz mówił wprost, że zdaniem sądu odwoławczego materiał zgromadzony w sprawie jest wystarczający do wydania wyroku skazującego.



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Jarosław Ziętara zaginął 1 września 1992 roku w drodze do redakcji. Śledczy uznają, że został porwany i zamordowany z powodu swojej pracy dziennikarskiej

Po ponad trzech dekadach od śmierci Ziętary wydawało się więc, że za chwilę zacznie się kolejny proces. Tak się nie stało.

Sąd Okręgowy w Poznaniu uznał jednak, że przed ponownym rozpoznaniem sprawy śledztwo trzeba jeszcze uzupełnić i zwrócił akta prokuraturze. Śledczy nie zgadzali się z tą decyzją. Prokurator z Małopolskiego Wydziału Zamiejscowego Prokuratury Krajowej w Krakowie złożył zażalenie, wskazując, dlaczego – jego zdaniem – zwrot postępowania nie był konieczny. W sierpniu Sąd Apelacyjny w Poznaniu zażalenia jednak nie uwzględnił. To oznacza, że sprawa po raz kolejny wróciła z sądu do śledczych.

– Aktualnie, z uwagi na decyzję Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, konieczne będzie wykonanie przez prokuratora czynności uzupełniających śledztwo, a następnie podjęcie końcowej decyzji merytorycznej – przekazała „Głosowi Wielkopolskiemu" prokurator Katarzyna Calów-Jaszewska z Prokuratury Krajowej.

Jakie dokładnie czynności zostaną wykonane, prokuratura nie chce ujawniać, powołując się na dobro postępowania. Sąd Okręgowy wskazywał wcześniej m.in. na dokumentację dotyczącą Jarosława Ziętary wytworzoną przez dawny Urząd Ochrony Państwa oraz opinię dotyczącą możliwości odtworzenia nagrania rozmowy Anny D. z Ryszardem B.

Nie wiadomo też, kiedy postępowanie uda się uzupełnić. Prokuratura nie chce dziś nawet przesądzać, czy będzie to kwestia tygodni, czy miesięcy.

– Obecnie trudno oszacować czas niezbędny do uzupełnienia postępowania, albowiem zależy to przede wszystkim od tempa przekazywania określonych materiałów przez inne, centralne instytucje państwowe – wyjaśnia prokurator Calów-Jaszewska.

Dopiero gdy materiały trafią do śledczych, będą musiały zostać przeanalizowane i zestawione z dowodami zgromadzonymi dotychczas. Dopiero potem prokuratura podejmie końcową decyzję w sprawie. Na razie nie sposób więc powiedzieć, kiedy akta „Lali" i „Ryby" ponownie trafią do sądu.

„Upływ czasu działa destrukcyjnie"

Dla Krzysztofa M. Kaźmierczaka z Komitetu Społecznego im. Jarosława Ziętary najnowszy zwrot w sprawie jest trudny do zrozumienia właśnie dlatego, że nastąpił tak szybko po grudniowym orzeczeniu sądu apelacyjnego.

– Zdumiewa i decyzja Sądu Okręgowego w Poznaniu o zwróceniu sprawy prokuraturze do uzupełnienia materiału dowodowego, jak i odrzucenie zażalenia w tej kwestii. Przecież w ubiegłym roku Sąd Apelacyjny w Poznaniu uchylił wyrok uniewinniający byłych ochroniarzy z Elektromisu i stwierdził dobitnie, że materiał dowodowy jest wystarczający do wydania wyroku skazującego oskarżonych – mówi.

Od zaginięcia Ziętary minęło niemal całe dorosłe życie człowieka, od przedstawienia zarzutów „Lali" i „Rybie" prawie 12 lat.

– Cofnięcie sprawy do prokuratury oznacza znaczne odwleczenie szans na spóźnioną o dziesięciolecia sprawiedliwość w sprawie porwania i zabójstwa Jarosława Ziętary. Upływ czasu działa destrukcyjnie, umierają kolejni świadkowie, zaciera się pamięć – podkreśla Kaźmierczak.

Przez te 34 lata zmarło już wiele osób, które mogły coś wiedzieć o sprawie. Niektórych tropów nie da się dziś sprawdzić tak jak można było zrobić to na początku lat 90.

Osobny proces dotyczył byłego senatora Aleksandra Gawronika. Prokuratura oskarżała go o podżeganie do uprowadzenia i zabójstwa dziennikarza. Gawronik został jednak uniewinniony, a orzeczenie to stało się prawomocne. W 2024 roku Sąd Najwyższy oddalił kasację prokuratury.

Pozostaje sprawa dwóch byłych ochroniarzy. I pytania, na które od 1992 roku nie ma odpowiedzi: kto dokładnie zdecydował o porwaniu Ziętary, kto go zabił i gdzie ukryto jego ciało.

1 września o godzinie 9 przy ul. Kolejowej 49 w Poznaniu znów spotkają się ludzie, którzy chcą o tym przypomnieć.

– Tym bardziej zachęcam do pokazania, że pamiętamy o zamordowanym dziennikarzu – mówi Krzysztof M. Kaźmierczak.

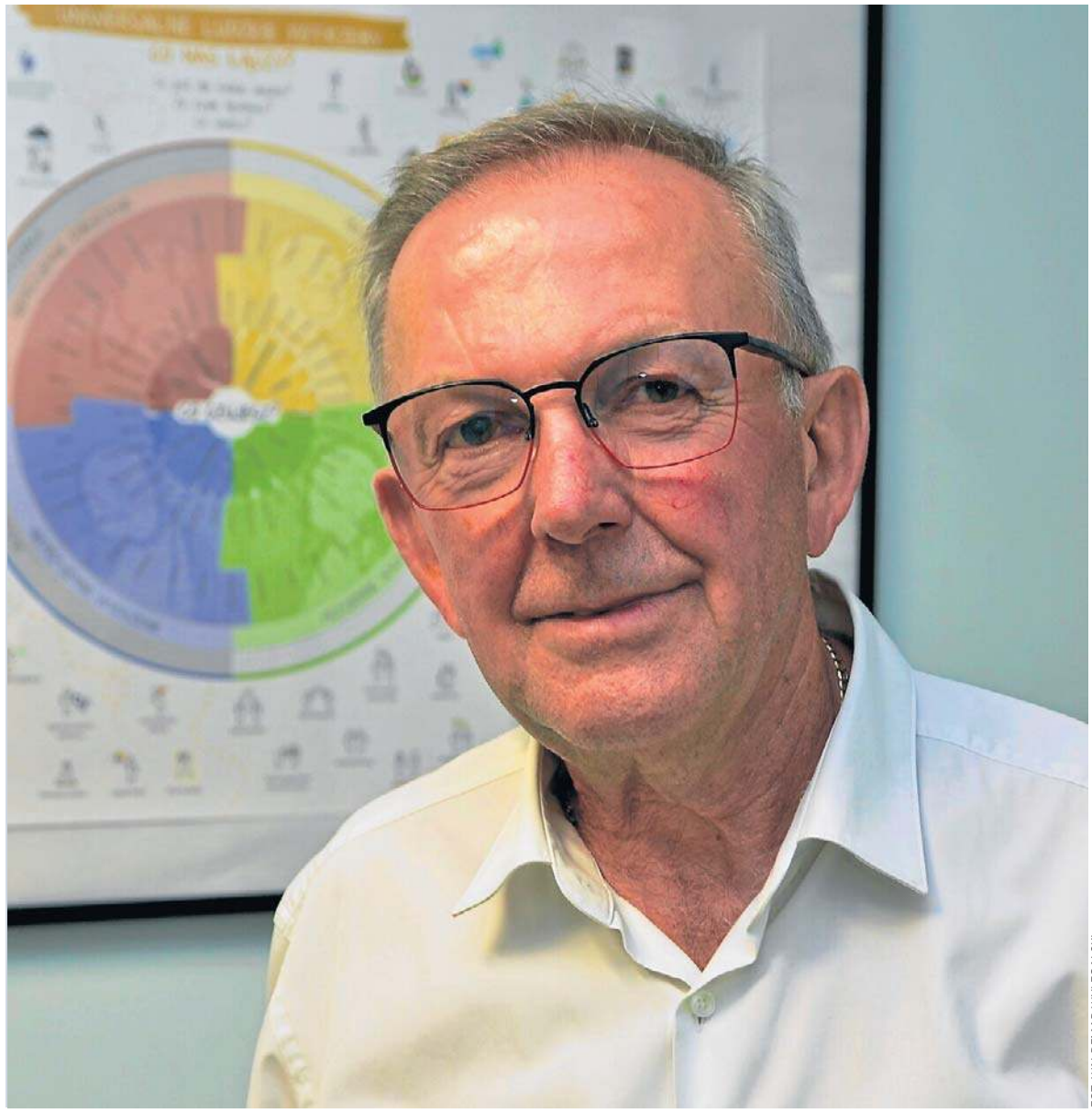
Na tablicy przy wejściu do kamienicy Jarosław Ziętara pozostaje 24-letnim mężczyzną. Dziś, gdyby żył, miałby 58 lat.

eprasa.pl 5b705b0441

WALKA Z UZALEŻNIENIEM

„Butelka mną rządziła”. Dwie historie powrotu do trzeźwości

Ahmed ma 37 lat, Marek – 53. Obaj z Poznania. Obaj już raz zdołali przestać pić. Obaj po dłuższej abstynencji wrócili do picia. I obaj ponownie trafili na terapię. Ich historie pokazują, że uzależnienie nie zawsze zaczyna się od butelki. Czasem zaczyna się od stresu, pracy, samotności, poczucia porażki albo przekonania, że „tym razem dam sobie radę”. – Z trzeźwością jest tak, że trzeba cały czas o siebie dbać – mówi Adam Trawiński, terapeuta, kierownik oddziału leczenia uzależnień szpitala przy Lutyckiej w Poznaniu



FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Adam Trawiński jest terapeutą, kierownikiem oddziału leczenia uzależnień w szpitalu przy Lutyckiej

Sylwia Rycharska

37-letni Ahmed nie chce już udawać, że problemu nie ma. Na terapię trafił po raz drugi.

Siedem lat temu prowadził działalność gospodarczą w Danii. Pracował w branży budowlanej. Pojawiły się nieudane inwestycje, duże straty finansowe, problemy w związku. Stres narastał. Alkohol był wcześniej obecny w jego życiu, ale – jak mówi – początkowo był tylko dodatkiem do spotkań czy uroczystości.

– Potem pojawiał się coraz częściej – wspomina.

Nie pił w pracy. Po pracy nadrabiał jednak wszystko, co – jak sam mówi – „czekało” na niego przez cały dzień. Wracał do domu i upijał się do nieprzytomności. Rano wstawał, szedł do pracy i czekał na moment, kiedy znowu będzie mógł się napić.

Próbował detoksów. Nie wystarczyły.

Pierwszą terapię przeszedł rok przed ponownym przyjściem na oddział. Po jej zakończeniu przez sześć miesięcy nie pił. Wydawało się, że najgorsze ma już za sobą. Wrócił jednak do alkoholu. – Poprzez pracę niestety wróciłem do picia – mówi.

Tym razem postanowił wrócić na oddział i przepracować problem jeszcze raz.

Momentem, który wcześniej skłonił go do pierwszego leczenia, była sytuacja, której długo nie zapomni. Wypił tak dużo wódki, że alkohol przestał dawać oczekiwany efekt.

– Piłem tę wódkę i praktycznie ona na mnie nie działała. I pewnego dnia stwierdziłem: albo pójdę po kolejną butelkę, albo po prostu coś z tym zrobię – opisuje.

Wybrał leczenie.

Dziś mówi przede wszystkim o potrzebie odzyskania zwyczajnego życia – nie o wielkich sukcesach, pieniądzach czy kolejnej firmie, ale o świadomych dniach, odpowiedzialności za własne decyzje, zdrowiu i relacjach.

Szczególnie ważna jest dla niego relacja z synem, który w grudniu skończy 18 lat.

Syn nigdy nie widział ojca pijanego. Alkohol był poza domem, często w ukryciu. Ahmed pracował za granicą, a partnerka z synem mieszkała w Polsce. Dziś chce nadrobić stracony czas.

– Będę stawiał głównie na to, żeby te nasze relacje się o wiele bardziej poprawiły i by dochodziło do częstszych spotkań – mówi.

Chce też wrócić do pracy, ale tym razem nie zamierza od razu rzucać się w wir prowadzenia własnej działalności. Myśli o etacie, podnoszeniu kwalifikacji, być może studiach.

Najpierw chce jednak poukładać siebie. – Być odpowiedzialnym za swoje decyzje. W funkcjonowaniu, po prostu zdrowym funkcjonowaniu człowieka przede wszystkim – mówi. – Alkohol odbiera tę świadomość.

„Wszystko się układało, a ja przestałem pilnować tego, co ważne”

Marek ma 53 lata. To jego kolejne leczenie.

Kiedy trzy lata temu opuszczał oddział, nie pił przez dwa i pół roku. Długa abstynencja dała mu coś, czego wcześniej nie znał – poczucie, że można żyć inaczej.

Prowadzi niewielką firmę remontowo-wykończeniową. Pracował, odzyskiwał zaufanie klientów, poprawiły się relacje z rodziną. Jest ponownie zaręczony. Ma już dorosłe córki, syna i pięcioro wnuków.

Sam mówi, że w pewnym momencie jego życie zaczęło się układać idealnie. I wtedy zaczął odpuszczać. Przestał chodzić na spotkania AA i coraz mniej miał kontaktu z trzeźwymi alkoholikami, a jednocześnie coraz więcej czasu poświęcał pracy.

W marcu tego roku ktoś włamał się do jego mieszkania i ukradł mu dużo pieniędzy. To był szok. Pojechał na detoks. Potem wrócił do pracy. Przez kolejne miesiące chciał przede wszystkim odrobić straty.

– Wszystkie priorytety potraciłem. Kompletnie wszystkie. Wszystko, co było ważne, to zostawiałem. Tylko praca, żeby kasa była – opowiada.

Pieniądze rzeczywiście udało mu się odrobić, ale koszt okazał się ogromny. Marek był wyczerpany zarówno psychicznie, jak i fizycznie. W końcu wypił. Najpierw raz. Potem znów. Łącznie pił około dziesięciu dni. I wtedy zadzwonił do terapeuty.

– Powiedziałem: „Nie, koniec”. Zadzwoniłem tu do pana Adama, ustaliłem termin i już jestem.

Marek nie mówi dziś o porażce, ale o lekcji. Wie, że gdyby wcześniej nie zrezygnował ze spotkań i kontaktu z trzeźwymi alkoholikami, być może inaczej poradziłby sobie z kryzysem.

– Jakbym chodził, przypuszczam, że bym zapanował nad tym. Ale że przestałem, no tak się stało. To jest jedna z lekcji, którą bym do siebie wziął na pewno.

Jest w jego historii jeszcze jedna ważna scena. Kiedyś dzieci sprawdzały, czy ojciec jest trzeźwy. Dziś, gdy nie pije, rodzina zachowuje się inaczej.

– Jak Maks wchodził, to tak patrzył: tata pije czy nie pije? A teraz śmiało, inaczej całkowicie.

Marek wie już, co daje mu trzeźwość. Zwyczajne wakacje z rodziną. Restauracja. Lody. Obiad. Rozmowa. Praca, w której ludzie znów mu ufają.

– Butelka mną rządziła cały czas, tylko kłamałem, oszukiwałem. A tutaj teraz? Weź pan, to naprawdę jeszcze mi zostało – mówi.

I dodaje: – Wiem, co to jest za życie na trzeźwo.

To nie jest historia o tym, kto pije najwięcej

Historie obu mężczyzn dobrze pokazują, dlaczego uzależnienia od alkoholu nie można sprowadzać do pytania: „Ile ktoś pije?”.

– Uzależnienie od alkoholu to nie jest to, że ktoś kiedyś dużo pił – mówi Adam Trawiński, koordynator Centrum Opieki Długoterminowej i Psychiatrycznej, w którego skład wchodzi Oddział Leczenia Uzależnień Szpitala Wojewódzkiego w Po-

eprasa.pl 5b705b0441

znaniu. – To utrata kontroli nad ilością wypijanego alkoholu.

Problem może rozwijać się pozornie niewinnie. Jedno piwo po pracy. Lampka wina wieczorem. Alkohol jako sposób na odreagowanie stresu.

Granica nie przebiega jednak przy konkretnej liczbie kieliszków.

– Nie ma tej granicy, że do pół litra czy do czterech piw jest okej – mówi Trawiński. – Trzeba się sobie przyglądać.

Szczególnie zdradliwe są rytuały.

– „To tylko lampka wina", „to tylko jedno piwo". Ale mówi się o tym, że choroba się rozwija po prostu. I można przewidzieć, co się podzieje dalej, jeśli ktoś tego nie zahamuje.

U części osób rozwija się także tolerancja na alkohol – z czasem potrzeba go więcej, by osiągnąć podobny efekt.

Dlatego pytanie nie powinno brzmieć wyłącznie: „Ile pijesz?". Warto zapytać: po co pijesz, co dzieje się, kiedy nie możesz się napić i czy potrafisz zrezygnować z alkoholu, kiedy sam sobie to obiecasz?

Polska nadal pije dużo

Dane Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom pokazują, że problem nie jest marginalny.

Według najnowszych danych, opartych na statystykach GUS, w 2024 roku spożycie alkoholu wyniosło w Polsce 8,8 litra stuprocentowego alkoholu na mieszkańca. Był to trzeci kolejny rok spadku. Jeszcze w 2021 roku było to 9,7 litra. Za spadek odpowiada przede wszystkim mniejsze spożycie piwa, podczas gdy ilość wypijanego alkoholu wysokoprocentowego pozostaje na podobnym poziomie.

Kilkanaście procent dorosłych Polaków spożywa alkohol w sposób problemowy. KCPU szacuje, że w tej grupie znajduje się około 900 tys. osób uzależnionych oraz ponad 2 mln osób pijących alkohol ryzykownie lub szkodliwie.

Po alkohol sięga także duża część nastolatków. W badaniu ESPAD 2024, dotyczącym młodzieży, alkohol pozostaje najbardziej rozpowszechnioną substancją psychoaktywną. W grupie 15-16-latków 72,9 proc. badanych przyznało, że przynajmniej raz w życiu piło alkohol, a 39,1 proc. sięgało po niego w ciągu ostatnich 30 dni. 13,4 proc. badanych w tym wieku przyznało natomiast, że w ciągu ostatniego miesiąca przynajmniej raz się upiło.

Jednocześnie KCPU podkreśla, że picie nie prowadzi automatycznie do uzależnienia. Wzorzec spożywania może się w ciągu życia zmieniać – od abstynencji, przez picie o niskim poziomie ryzyka, po picie ryzykowne i szkodliwe.



FOT. SZPITAL WOJEWÓDZKI W POZNANIU

Na oddziale leczenia uzależnień terapia trwa osiem tygodni

„Najpierw mówi, że nie ma problemu, a potem cały sobą w tym tkwi"

Osoba uzależniona często długo nie widzi własnego problemu. Alkohol staje się odpowiedzią na wszystko: trudną żonę, wymagającą pracę, stres, pieniądze, samotność.

– „Jakby ta żona była inna, to bym nie musiał". „Jakby w pracy czegoś nie wymagali". I żyjesz w swoim świecie – tłumaczy terapeuta.

Dlatego pacjenci często zgłaszają się dopiero wtedy, gdy sytuacja staje się naprawdę poważna. Kiedy pojawia się ultimatum ze strony rodziny, problemy w pracy, policja, sąd albo inne konsekwencje picia.

– Najpierw mówi, że nie, nie, nie ma problemu, a potem cały sobą w tym siedzi – mówi Adam Trawiński. Dlatego początkowo motywacja do zmiany jest najczęściej zewnętrzna. Zadaniem terapeutów jest doprowadzić do tego, by pojawiła się także ta wewnętrzna: „Chcę to zrobić dla siebie".

To właśnie widać w historiach Ahmeda i Marka. Obaj mają za sobą sytuacje, które mogłyby stać się wyłącznie opowieścią o stracie. Obaj próbują jednak potraktować je jako sygnał, że trzeba coś zmienić.

Nie wystarczy „przestać pić"

Na oddziale terapia trwa osiem tygodni, czyli 56 dni.

Dzień pacjenta jest wypełniony zajęciami. Są spotkania dotyczące emocji, indywidualna praca z terapeutą, osobisty plan terapii, zajęcia dotyczące wpływu uzależnienia na rodzinę, pracę i relacje, a także warsztaty dotyczące komunikacji czy odmawiania alkoholu.

Ważnym elementem terapii jest praca grupowa. Pacjent słyszy historie innych osób i może zobaczyć w nich własne zachowania.

– Pacjent zaczyna mówić o jednym piwie, a grupa go konfrontuje: „Co ty opowiadasz? U nas też tak było" – mówi Adam Trawiński. Ta konfrontacja ma przerwać przekonanie, że „ze mną jest inaczej".

Jednym z problemów, nad którymi terapeuci pracują, jest to, że pacjenci często nie potrafią nawet nazwać tego, co czują.

Po ośmiu tygodniach pobyt na oddziale się kończy. Leczenie nie.

– Sam oddział nie wystarczy – podkreśla kierownik OLU. – Po opuszczeniu oddziału zaleca się zgłoszenie się do poradni uzależnień i tam kontynuowanie pracy.

To właśnie ten etap często okazuje się kluczowy.

Marek przekonał się o tym na własnej skórze. Kiedy przestał chodzić na mityngi i stracił kontakt ze środowiskiem trzeźwych alkoholików, jego system bezpieczeństwa zaczął się rozpadać.

Kierownik OLU Adam Trawiński nie traktuje jednak nawrotu jako automatycznego dowodu na to, że wcześniejsza terapia nie zadziałała.

– Każdemu się noga może powinąć – mówi.

Problemem nie jest więc samo potknięcie, ale to, co pacjent zrobi po nim. Czy mówi: „Trudno, znowu piję", czy – tak jak Marek – sięga po telefon i mówi terapeucie: „Nie udało się. Napiłem się".

„Cały system rodzinny jest chory"

Uzależnienie nie dotyczy wyłącznie osoby, która pije. Z czasem zaczyna organizować życie całej rodziny.

– Chory jest cały system – mówi Adam Trawiński. – To nie jest tak, że problem jest jednostkowy. Cały system jest chory, bo rodzina zaczyna funkcjonować wokół tej osoby uzależnionej.

Dlatego terapeuta zwraca uwagę także na osoby współuzależnione. Jego zdaniem bardzo dobre efekty daje sytuacja, w której na terapię trafia nie tylko osoba pijąca, ale także ktoś z jej najbliższego otoczenia (żona, mąż, partner, partnerka córka, syn itd.).

W przypadku Ahmeda problem przez lata pozostawał w dużej mierze niewidoczny dla syna. Ojciec pił poza domem, syn nie widział go pijanego. Nie oznacza to jednak, że alkohol nie wpłynął na ich relację. Dziś Ahmed chce ją odbudować.

Marek z kolei widział konsekwencje swojego picia w oczach dzieci. Dziś opowiada o tym, jak ogromną zmianę zauważyła rodzina, kiedy przestał pić.

To właśnie takie zwyczajne rzeczy stają się dla niego symbolem nowego życia.

„Trzeźwym być nie jest trudno. Wystarczy zmienić całe swoje życie"

Na oddział trafiają bardzo różni ludzie: od osób bezdomnych i samotnych po pracujące, prowadzące firmy i zajmujące wysokie stanowiska. Wśród pacjentów jest także coraz więcej kobiet. Zdaniem kierownika oddziału uzależnienie u kobiet przez długi czas bywa bardziej ukrywane niż u mężczyzn.

– Kobietom trudniej się zdecydować, nawet przyznać się – mówi. Stereotyp matki, żony czy partnerki sprawia, że często zgłaszają się po pomoc dopiero wtedy, gdy uzależnienie jest już mocno rozwinięte.

Terapeuta zwraca uwagę, że szczególnie długo problem potrafi być niewidoczny u osób tzw. wysoko funkcjonujących – mających firmę, stanowisko, pieniądze, rodzinę. One przez lata mogą słyszeć od otoczenia: „Przy takiej pracy ma prawo być zmęczony", „ma dużo na głowie", „przecież wszyscy piją".

– Otoczenie bardzo ich usprawiedliwia – mówi Adam Trawiński. – Dlatego uzależnienie nie ma jednego profilu – dodaje.

Na leczenie na oddział trafiają także osoby młodsze, u których uzależnienie często nie dotyczy wyłącznie alkoholu – pojawiają się narkotyki, nowe substancje psychoaktywne czy inne zachowania nałogowe.

Coraz więcej kobiet trafia na oddział. – Kobietom trudniej się zdecydować, nawet przyznać się. Stereotyp matki, żony czy partnerki sprawia, że często zgłaszają się po pomoc dopiero wtedy, gdy uzależnienie jest już mocno rozwinięte.

ADAM TRAWIŃSKI
terapeuta, kierownik oddziału leczenia uzależnień szpitala przy Lutyckiej w Poznaniu

Dlatego terapeuta podkreśla znaczenie specjalistycznej pomocy i odpowiednio dobranego programu. A przede wszystkim – świadomości, że samo odstawienie alkoholu czy innych środków psychoaktywnych nie rozwiązuje problemu.

– Dla mnie uzależnienie to: zmiana myślenia, zachowania i postępowania – mówi kierownik.

To dlatego na terapii pacjenci uczą się nie tylko, jak utrzymać trzeźwość. Uczą się nazywać, rozpoznawać emocje, rozmawiać, odmawiać, radzić sobie ze stresem i brać odpowiedzialność za własne decyzje.

Bo kiedy alkohol przestaje być sposobem na trudne życie, trzeba znaleźć inny sposób.

Ahmed chce nauczyć się żyć świadomie. Marek chce ponownie poukładać swoje priorytety. Obaj wiedzą już, że samo wyjście z oddziału nie będzie końcem ich historii. Raczej początkiem kolejnego etapu.

– Tak naprawdę z tej choroby nie da się wyleczyć, bo jest to choroba chroniczna. Ale można pięknie żyć, zachowując oczywiście abstynencję – mówi Adam Trawiński, kierownik oddziału.

eprasa.pl 5b705b0441

FILM

Zdobyli Berlin tuż pod Łodzią, zdobyli też serca widzów na wiele lat

Sześćdziesiąt lat temu telewizja zaczęła pokazywać serial „Czterej pancerni i pies". Nikt wtedy nie przypuszczał, że „Pancerni" staną się kultowym polskim serialem. Wiele zdjęć kręcono w Łodzi i okolicach, między innymi w obecnym rektoracie Politechniki Łódzkiej. Pancerni zdobywali zaś Berlin w... Aleksandrowie Łódzkim

Anna Gronczewska

Pod pancerzem duszno

Nie było w Polsce podwórka, na którym dzieci nie bawiłyby się w „Czterech pancernych i psa". Każdy chciał być Jankiem, Marusią, a nawet Szarikiem. Pierwszy, pilotowy odcinek serialu, „Załoga", Telewizja Polska wyemitowała 60 lat temu – 9 maja 1966 roku, w Dzień Zwycięstwa. Regularną emisję rozpoczęto we wrześniu tego samego roku. „Czterej pancerni i pies" są do dziś jedną z najpopularniejszych naszych produkcji filmowych. Pomagała w tym TVP, która pokazywała „Pancernych" średnio co półtora roku. Teraz ta częstotliwość się jeszcze zwiększyła. Serial emituje nie tylko Telewizja Polska, ale też stacje komercyjne.

– „Czterej pancerni i pies" to dla mnie kawałek życia, które razem z kolegami spędziliśmy na planie – mówił nam przed laty w wywiadzie nieżyjący już Witold Pyrkosz, który w „Pancernych" zagrał kaprala Franka Wichurę. – Rola Wichury miała być tylko epizodem w pierwszej serii. Ale postać pozostała i z „Pancernymi" dotarła do Berlina. Miałem dołączyć do załogi „Rudego", ale pod pancerzem było mi za duszno...

Przyjaciel Jaruzelskiego

Nakręcono 21 odcinków „Czterech pancernych i psa", choć serial miał się skończyć po siedmiu – kiedy Janek odnajduje ojca, załoga dochodzi do Bałtyku i ginie Olgierd, dowódca „Rudego". Takie zakończenie miała też powstała równolegle książka. Popularność serialu była tak wielka, że Janusz Przymanowski zaczął pisać kolejne odcinki.

Janusz Przymanowski, autor scenariusza i frontowy przyjaciel Wojciecha Jaruzelskiego, przygody załogi „Rudego 102" napisał na podstawie autentycznych wspomnień polskich żołnierzy walczących na wschodnim froncie.

– Pisali do niego listy i opowiadali o swoim życiu, Przymanowski sam też wędrował z polskim wojskiem z Rosji do Polski – mówił nam przed laty Łodzianin Romuald Kropat, nieżyjący już dziś operator „Czterech pancernych i psa", wieloletni wykładowca łódzkiej szkoły filmowej. – Scenariusz był uzupełniany w czasie realizacji filmu.

Wielu młodych widzów nie mogło przeboleć, że w kolejnych odcinkach nie występuje już Roman Wilhelmi. Ale choć jego bohater zginął, aktor miał się jeszcze pojawić w serialu. Jest w nim scena, kiedy „Pancerni" widzą z daleka żołnierza bardzo podobnego do Olgierda. Wątek miał być kontynuowany. Planowano bowiem, by Wilhelmi zagrał rosyjskiego sapera, który pojawia się w ostatnich odcinkach. Miał być łudząco podobny do Olgierda. Jednak wcześniej Wilhelmi przyjął propozycję zagrania w jakimś NRD-owskim filmie i w „Czterech pancernych" się już nie pojawił. Rosyjskiego oficera zagrał Aleksander Bielawski.

W rolę Szarika wcielił się milicyjny pies Trymer. W pierwszej serii trenował go milicjant, który wyjechał potem do Izraela. W dwóch kolejnych częściach zastąpił go znany treser zwierząt pułkownik Franciszek Szydełko. Szarik miał dwóch dublerów.

– Kiedy w berlińskiej dekoracji Szarik nie chciał skoczyć z pierwszego piętra, to zastępował go du-



FOT. TVP/FILM POLSKI

Czterej pancerni: Gustlik Jeleń (Franciszek Pieczka), Olgierd Jarosz (Roman Wilhelmi), Grigorij Saakaszwili (Włodzimierz Press), Janek Kos (Janusz Gajos). No i Szarik. Jak mówił Olgierd Jarosz: „Załoga musi być jak palce jednej ręki. Dla swoich otwarta, dla wroga złożona w pięść"

eprasa.pl 5b705b0441

bler – wspominał Romuald Kropat.

Wybiegli z kościoła

Załoga „Rudego" i jej przyjaciele jeździli po całym kraju na spotkania z telewidzami. Urodzony w Łodzi aktor Janusz Kłosiński, grający sierżanta Czernousowa, opowiadał, że kiedyś z Romanem Wilhelmim jechali na takie spotkanie z widzami. Przejeżdżali przez miejscowość, w której odbywała się niedzielna suma. Nagle ktoś krzyknął: Jadą pancerni! Wszyscy, łącznie z ministrantami wybiegli z kościoła.

– Wilhelmi, który nie był człowiekiem sentymentalnym, mrugnął do mnie, puknął się w czoło i powiedział: Ci ludzie zwariowali! – wspominał Janusz Kłosiński.

W Łodzi na ul. Piotrkowskiej i Placu Wolności „Pancernych" witały tłumy.

– Czterej pancerni na czołgu mieli przejechać z Placu Wolności, Piotrkowską do Hali Ludowej, gdzie miała się odbyć finałowa impreza – wspominał po latach Janusz Gajos. – Nikt się nie spodziewał jednak, że przyjdzie 250 tysięcy osób. Czołg stał na placu straży pożarnej, a przed nami zbity tłum, masa dzieci, no i my mamy niby tym czołgiem jechać. Nie zapomnę, jak z Romkiem Wilhelmim patrzyliśmy na ten falujący tłum i nagle on mówi: Popatrz na bramę. Brama wjazdowa była zamknięta na gruby łańcuch, tłum napierał. I nagle, jakby w złą godzinę powiedział, ten łańcuch pękł, brama się otworzyła i rzeka ludzi po prostu wlała się na plac. Uciekaliśmy jak opętani, ze strachu, że nas stratują. Doszło do tego, że wsadzili każdego z nas w osobny wóz strażacki i na sygnale, bocznymi ulicami zawieźli do tej hali.

Tamto spotkanie z Łodzianami dobrze zapamiętał też Romuald Kropat.

– To było coś nie do wyobrażenia! – opowiadał nam. – Drugie spotkanie zorganizowano w Łodzi, gdy akurat do miasta przybywał kardynał Stefan Wyszyński. Partia chciała w ten sposób odciągnąć Łodzian od głowy Kościoła. Jednak fortel nie powiódł się. Na spotkanie z „Pancernymi" prawie nikt nie przyszedł. Cała ekipa pojechała więc na przyjęcie, które zorganizowano koło Strykowa...

Wyszyński i Wojtyła wygrali z pancernymi

To drugie spotkanie z „Pancernymi" odbyło się 11 czerwca 1967 roku. Wtedy w Łodzi i pobliskim Tumie odbywały się ogólnopolskie uroczystości kończące obchody Millenium Chrztu Polski. Przybyli na nie między innymi wspomniany prymas Wyszyński, a także przyszły papież i święty, Karol Wojtyła. „Pancerni" mieli odciągnąć Łodzian od uroczystości religijnych. Najpierw w parku na Zdrowiu, podobno na życzenie mieszkańców miasta, pokazano widowisko plenerowe „Ballada partyzancka".

– Przypomnijmy, że to widowisko - gigant, w którym jego realizatorzy przedstawiają widzom chlubne karty z walk polskiej lewicy z hitlerowskim najeźdźcą! – informował „Dziennik Łódzki". – Zrzut skoczków i broni dla oddziałów partyzanckich, świece dymne, wystrzały oraz obrazy z biwaków leśnych ludzi wraz z piosenkami i satyrą okupacyjną to tylko fragmenty „Ballady partyzanckiej". Po raz pierwszy w widowisku wezmą udział bohaterowie filmu „Czterej pancerni i pies". Po zakończeniu „Ballady" ulubieńcy młodzieży i dorosłych „Pancerni" wraz z psem Szarikiem przejadą ulicami miasta.

Podawano dokładnie trasę przejazdu. – Bohaterowie serialu, udając się do Warszawy, przejadą ul. Uniwersytecką (od Narutowicza), Strykowską, dalej Wycieczkową, Kryształową do autostrady warszawskiej – informowano. Apelowano też, by podczas przejazdu aktorów nie niszczono znajdujących się na trasie kwietników, zieleńców, trawników.

Poniedziałkowa gazeta nie informowała już o tym, że przejazd „Pancernych" nie cieszył się tak wielkim zainteresowaniem, jakiego się spodziewano. Pokazano tylko fotografię bohaterów serialu na czołgu.

Aleksandrów jak Berlin

Zdjęcia do serialu kręcono w wielu miejscach Polski. W pierwszej serii były to głównie Wrocław i Żagań. Potem dochodziły inne miejsca. W tym także te związane z regionem łódzkim. Wiele zdjęć powstało w okolicach Spały. W Spale ekipa miała swoją bazę. Zdjęcia kręcono natomiast w Inowłodzu i Poświętnem. Tam powstały sceny z odcinka „Kwadrans po nieparzystej".

Wiele kilometrów taśmy filmowej nakręcono w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych. W „Pancernych" zagrały także dwa łódzkie pałace znajdujące się przy ul. Skorupki, należące teraz do Politechniki Łódzkiej. Oba można oglądać w odcinku „Kwadrans po nieparzystej". W późniejszym rektoracie PŁ, a dawnym pałacyku Reinholda Richtera, przy ul. Skorupki 6/8 kręcono zdjęcia z zewnątrz. W pałacu, gdzie znajdował się kiedyś Urząd Stanu Cywilnego, należącym przed laty do Józefa Richtera, przy ul. Skorupki 10/11, realizowano zdjęcia wewnętrzne. Teraz w tym miejscu jest rektorat PŁ.

Natomiast sceny, w których pancerni zdobywali Berlin, zagrało lotnisko w Aleksandrowie Łódzkim. Tam ustawiono wielką makietę Bramy Brandenburskiej. Wykorzystano ją jeszcze w dwóch innych filmach, między innymi „Kierunek Berlin".

Zdjęcia do „Pancernych" kręcono również w okolicach Niewiadowa, koło Tomaszowa Mazowieckiego. Z tej miejscowości pochodzi Cezary Pazura. Był kilkuletnim chłopcem, poszedł przyglądać się, jak kręcą kultowy serial. W przerwie zdjęć podszedł do Janusza Gajosa i poprosił o autograf. Nie dostał go.

– Trzeba było powiedzieć, że to ty! – odpowiedział po latach koledze po fachu Gajos.

Gajos pod ciężarówką

Na planie serialu nie brakowało dramatycznych sytuacji. Ciężkiemu wypadkowi uległ Janusz Gajos, filmowy Janek Kos. Romuald Kropat dobrze zapamiętał ten moment. Na miejsce, gdzie kręcono kolejne zdjęcia, ciężarówki wwoziły sprzęt. Gdy wracały, skracały sobie drogę. Na miejscu byli już aktorzy. Janusz Gajos czekając na rozpoczęcie zdjęć zdrzemnął się na ziemi. Kierowca ciężarówki nie zauważył śpiącego aktora.

– Odwróciłem się i patrzę, że ciężarówka jedzie wprost na Gajosa! – opowiadał Romuald Kropat. – Przednie koła przejechały przez aktora. Zacząłem krzyczeć, by samochód się zatrzymał. Ciężarówka stanęła. Gdyby tak nie było, to skutki wypadku byłyby o wiele tragiczniejsze. Janusz Gajos z pękniętą miednicą został odwieziony do szpitala.

Po tym wypadku trzeba było zmienić scenariusz „Pancernych". „Rudy" został trafiony, zniszczono wieżę czołgu, a ranna załoga wylądowała w szpitalu. Wszyscy pamiętają odcinek, w którym Janek Kos leży cały w gipsie na szpitalnym łóżku. Gajosa przywożono ze szpitala na plan filmowy na specjalnym łóżku i kręcono zdjęcia.

Dzieci biegały za Czereśniakiem

Aktorzy grający w „Czterech pancernych i psie" zdobyli ogromną popularność.

– Gdy serial był emitowany, to biegały za mną dzieci, 7-8-latkowie i wołały: Tomek, nie piskaj! – opowiadał nam Wiesław Gołas, czyli Tomek Czereśniak. – Nie gniewałem się za to, bo nie jestem obraźliwy.

Przez wiele lat polskie podwórka i szkoły pełne były małych czołgistów. Ulubionym bohaterem młodych Polaków był Janek. Gdy na podwórku bawiono się w „Czterech pancernych i psa", każdy chciał być dowódcą „Rudego". Powodzeniem cieszyły się jeszcze Marusie i Lidki, choć zaszczytem było też mianowanie na Szarika.

– A moją ulubioną postacią był Grigorij, grany przez Włodzimierza Pressa – mówił nam Marek Łazarz z Wrocławia, slawista z wykształcenia, a pilot i przewodnik turystyczny z zawodu, autor książki „Czterej pancerni i pies. Przewodnik po serialu i okolicach". – Może na przekór wszystkim tym, którzy kochali Janka albo Lidkę lub Marusię.

Marek Łazarz, choć urodził się sześć lat po tym, gdy nakręcono pierwszy odcinek „Czterech pancernych i psa", jest jednym z najbardziej zagorzałych fanów serialu. Wie o nim wszystko, przez trzy lata zbierał wiadomości na ten temat.

– Miałem z sześć czy siedem lat, gdy pierwszy raz obejrzałem „Pancernych" – wspominał. – Na początku najbardziej interesowała mnie technika wojskowa, a więc czołgi, działa, karabiny. Potem szybko zrozumiałem, że to wspaniały film przygodowy, opowiadający o przyjaźni. Była to polska odpowiedź na amerykańskie seriale typu „Zorro" czy „Wilhelm Tell".

Kluby Pancernych

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w wielkich miastach i małych wsiach powstawały Kluby Pancernych. Tworzono załogi „Rudego". Mogły one liczyć dowolną liczbę członków, ale koniecznie musiało być w niej zwierzę. Niekoniecznie pies. Szarikiem były koty, rybki, a nawet żółwie.

– Do Klubów Pancernych należało 400-500 tysięcy dzieci – wyjaśniał Marek Łazarz. – Gdy w 1970 roku Kluby Pancernych organizowały egzaminy na kartę rowerową, to tylko w ciągu jednej niedzieli przystąpiło do nich 800 tysięcy dziewcząt i chłopców!

Franciszek Pieczka, aktor grający w „Pancernych" Gustlika Jelenia, pamięta, że członkowie Klubów Pancernych budowali po wsiach budy dla miejscowych Szarików, wykładali je słomą.

Wiele powiedzeń z serialu weszło do naszego języka. Między innymi słynne już: Pyrkosz, pyrkosz i nie jedziesz! – słowa te mówił do Witolda Pyrkosza Franciszek Pieczka. Scena ta weszła do serialu przez przypadek.

– Wymyślili to córka i syn Konrada Nałęckiego, nieżyjącego już reżysera serialu, który był wspaniałym człowiekiem – wspominał nam Witold Pyrkosz. – Reżyser stwierdził, że nie wejdzie to do filmu. Ja na to: Jak to nie wejdzie? Poszedłem do sklepu, kupiłem dzieciom po czekoladzie i w filmie się znalazła. Po latach wracaliśmy z żoną i córką z Zakopanego i na Moście Dębnickim w Krakowie mój Polonez zgasł. Podszedł do mnie milicjant, popatrzył na mnie i mówi: „Pyrkosz, pyrkosz i nie ruszosz". Bardzo się ucieszyłem, bo pierwszy raz zostałem zacytowany!

Szarik bardzo lubił Wiesława Gołasa. Spędzał z nim więcej czasu niż z filmowym Jankiem.

– Gdy pan Szydełko musiał wyjechać, to Szarik spał u mnie w hotelu, a dietę na wyżywienie miał większą niż ja! – opowiadał nam Wiesław Gołas.

Komunistyczna propaganda?

Zarzucało się serialowi, że był propagandą komunistyczną, ale niewielu fanów serialu to interesowało. Do dziś jest to dla nich serial o przyjaźni i przygodach, które sami chcieliby przeżyć.

– Nie wstydzę się udziału w tym serialu – mówił nam Franciszek Pieczka. – Że był wykorzystany przez tzw. czynniki do innych celów, to już inne zagadnienie. Ale takie to były czasy. Były zarzuty, że serial przekłamuje historię, ale myśmy szli ze wschodu na zachód, a nie z zachodu na wschód. Był to serial o przyjaźni. Teraz w serialach dla młodzieży leje się krew. Konsekwencją tego jest to, jak się potem młodzi zachowują.

Losy pancernych

Losy aktorów serialu ułożyły się różnie. Roman Wilhelmi zmarł w 1991 roku. „Pancerni" przynieśli mu wielką popularność. Choć potem widzowie bardziej kojarzyli go z Nikodemem Dyzmą i dozorcą Aniołem niż z Olgierdem. Wielkiej kariery nie zrobił już Włodzimierz Press, czyli Grigorij. Sam przyznał, że chyba nie do końca wyzwolił się z tej roli. Ale na planie „Pancernych" poznał żonę Grażynę, która pracowała jako kostiumolog. Mają dwoje dzieci. Grzegorz jest fotografem, a córka mieszka we Francji.

Barbara Krafftówna, czyli niezapomniana Honorata, zmarła w 2022 roku, miała 86 lat. Niedawno Remigiusz Grzela napisał o niej książkę „Krafftówna. W krainie czarów". Niestety, pani Barbarze nie ułożyło się prywatne życie. Jej pierwszy mąż Michał Gazda, też aktor, zmarł nagle, gdy miał 42 lata. Po latach znów wyszła za mąż. Jej mężem został Arnold Seidner, dyrektor Międzynarodowego Instytutu do spraw Emigrantów w San Francisco. Dla niego wyjechała do USA. Ale po pół roku mąż zmarł. Barbara Krafftówna wróciła do kraju. W Kanadzie mieszkał z rodziną Piotr, jej syn z pierwszego małżeństwa. Umarł w 2009 roku. Wdową jest też Małgorzata Niemirska, która grała Lidkę. Jej mąż, znany aktor Marek Walczewski zmarł 17 lat temu. Natomiast Marusia, czyli Pola Raksa, z którą Lidka walczyła o serce Janka, wiele lat temu odeszła z zawodu. Zajęła się modą. Janusz Gajos jest dziś jednym z najwybitniejszych polskich aktorów.

Kilka lat temu pojawił się pomysł, by nakręcić dalsze losy „Pancernych". Akcja filmu miała się rozgrywać po 40 latach od zakończenia wojny. Bohaterowie spotykają się i znowu razem walczą, choć tym razem nie z Niemcami. Kapral Wichura został sprzedawcą Mercedesów, Janek Kos – biznesmenem. Gustlik Jeleń siedziałby w Ustroniu pod pantoflem Honoraty, a Grigorij, który stał się alkoholikiem, zostałby ściągnięty z Gruzji do Polski. Jednak skończyło się na planach.

eprasa.pl 5b705b0441

GWIAZDA TYGODNIA

Marika: Artyści są po to, żeby ocalać i opisywać to, co najbardziej ludzkie

Zaczynała od muzyki reggae, potem śpiewała nowoczesny soul. Ujęła nas też swą naturalnością jako prowadząca „The Voice of Poland". W końcu zrobiła sobie urlop macierzyński, bo urodziła bliźniaki. Dziś znów chce podbijać listy przebojów. Nam opowiada, że znalazła dojrzałą miłość

Paweł Gzyl

Dostaliśmy od ciebie w ostatnich miesiącach dwie nowe piosenki – „To nie ty" i „Okruchy złota". Tym razem to inna muzyka niż ta, do której nas wcześniej przyzwyczaiłaś – gitarowy pop-rock. Co sprawiło, że sięgnęłaś po takie brzmienia?

Płyta „Cykl" sprzed trzech lat została dostrzeżona przez branżę i dostała nominację do Fryderyka, ale nie dotarła do tak szerokiej publiczności, jak bym chciała. Wydawałam ją sama i wtedy jeszcze nie bardzo umiałam korzystać z nowych narzędzi promowania muzyki. Od tego czasu sporo się nauczyłam. Przy „To nie ty" i „Okruchach złota" mocniej skupiłam się na internecie i dzięki temu udało mi się pokazać te piosenki znacznie większej liczbie odbiorców. Niektórym przypomniałam o swoim istnieniu, innym zaprezentowałam się po raz pierwszy. A ponieważ największą popularność przyniosło mi „Moje serce", czyli piosenka prosta, melodyjna i balladowa, pomyślałam, że może znowu napiszę kilka takich utworów. Chciałam też pokazać nowe nagrania rozgłośniom radiowym, więc świadomie poszłam w stronę dobrego, melodyjnego popu.

To dla ciebie coś nowego.

Moi najbliżsi od dawna namawiali mnie, żebym czasem odpuściła bogate aranżacje i próbę zawarcia pięciu treści w jednym tekście. Postanowiłam, że faktycznie warto spróbować napisać coś prostszego. Świat dzisiaj strasznie szybko pędzi, z każdej strony jesteśmy bombardowani komunikatami i coraz trudniej jest nam skupić na czymś uwagę na dłużej. Stwierdziłam więc, że może w jednej piosence naprawdę wystarczy opowiedzieć jedną historię. (śmiech)

I jak ci się pisało takie proste piosenki?

Świetnie. Bo one nadal są mądre i mają coś do powiedzenia. Kiedy pokazałam je mojej mamie, polonistce, stwierdziła: „Wreszcie nie boksujesz się ze światem i nie próbujesz go zmieniać. Nie musisz być Joanną d'Arc! Ludzie są zmęczeni, każdy ma swoje problemy i nie zawsze chce jeszcze słuchać o cudzych". To spuszczenie z tonu i zdjęcie nogi z gazu okazało się dla mnie bardzo ciekawą przygodą i chyba zbawienną dla mojej twórczości. Kiedy śpiewam teraz te piosenki na koncertach, mam z tego ogromną przyjemność. Nie spocę się przy nich, bo jakoś tak bardziej płyną. (śmiech)

„To nie ty" opowiada o nieudanej relacji, a „Okruchy złota" o szczęśliwej i bezwarunkowej miłości. To dwie strony tej samej historii?

Tak. Decydując się na publikację tych nagrań w takiej kolejności, dokonałam retrospektywy. Piosenki te układają się w opowieść o dojrzewaniu do relacji. Z tym, że w tym drugim przypadku nie nazwałabym tej miłości bezwarunkową.

Dlaczego?

Jestem realistką i chyba tylko miłość moich dzieci do mnie mogłabym nazwać bezwarunkową. Choć i to można by zakwestionować, bo przecież kochając mnie, swoją mamę, kochają osobę, która na tym etapie ich życia gwarantuje im bezpieczeństwo. Jeśli chodzi o relację między dorosłymi, to zawsze jest coś za coś. Nawet kiedy nam się wydaje, że robimy coś w stu procentach altruistycznie, to okazuje się, że na jakimś poziomie sprawiamy sami sobie przyjemność informacją „Och, jaki jestem dobry".

To o jakiej miłości opowiadają „Okruchy złota"?

To dojrzała relacja, w której przyjmujemy i akceptujemy drugiego człowieka w jego niedoskonałości i słabości. Wiadomo – jeśli będzie nas niszczył, to nie ma co przy nim trwać. Ale w dojrzałej relacji musi być margines zgody na to, że po prostu jesteśmy tylko ludźmi. Niedawno słyszałam wypowiedź, w której ktoś cytował Leszka Kołakowskiego, który, gdy spytano go, czy jest jakiś wspólny mianownik generalnie dla wszystkich ludzi, powiedział, że wszyscy jesteśmy słabi, ale mało kto ma odwagę się do tego przyznać. I to prawda: tylko ludzie silni i dojrzali to potrafią. Takie myślenie jest w „Okruchach złota": że dojrzałość to przyjęcie swojej słabości, wzięcie na nią poprawki i zaakceptowanie, że tak po prostu jest.

„Okruchy złota" nagrałaś z Pawłem Domagałą. Jak narodził się pomysł na taki nieoczywisty duet?

Mnie się to połączenie wydawało naturalne i widziałam je już od siedmiu lat. Kiedy świętowałam dziesięciolecie mojej debiutanckiej płyty „Plenty" z 2008 roku, zaprosiłam Pawła na koncert i on się zgodził bez wahania i bez finansowych wymagań. Kiedy potem rejestrowaliśmy to wydarzenie kamerą, powiedział do niej: „My z Mariką kiedyś jeszcze nagramy płytę, która sprzeda się w 3 milionach egzemplarzy". To proroctwo prawie się teraz ziściło: nagraliśmy „Okruchy złota" i wideo do tej piosenki ma już ponad milion odsłon na YouTubie.

Wypadacie z Pawłem w tym utworze bardzo przekonująco. Skąd między wami takie dobre porozumienie?

Wiele nas z Pawłem łączy. Jesteśmy z tego samego pokolenia: on z 1984 roku, a ja z 1980. Mamy podobny zestaw wartości, który sprawia, że żyjemy tak, jak żyjemy. Wierzymy w rodzinę, w trwałość relacji międzyludzkich, w miłość z wyrozumiałością wobec swoich słabości, chcemy przejść przez życie z ukochaną osobą do końca. Paweł potrafi jak nikt inny pisać i śpiewać o miłości dojrzałej. To choćby jego „Weź nie pytaj" – deklaracja, że jest w stanie unieść starzenie się swej żony, że przyjmuje jej zmiany z otwartością i ciekawością. Ten tekst bardzo mnie ujął, to, jak Paweł widzi świat i miłość. Dlatego dla mnie było bardzo naturalne, aby zaproponować mu właśnie taką piosenkę. Opowieść o dojrzałej miłości, która pozwala nam być sobą, zmieniać się, dojrzewać i starzeć się razem.

Odnalazłaś taką miłość w swoim życiu?

Tak. Jestem od czternastu lat z tym samym partnerem, od dziesięciu lat w małżeństwie. Mamy dzieci i ta próba, której jesteśmy obecnie poddawani jako rodzice bliźniąt, jest wymagająca. Mimo to zdajemy ten egzamin całkiem dobrze. Oczywiście nie wiem, co przyniesie przyszłość. Póki co płyniemy na tej samej łajbie, wiosłujemy dzielnie, raz jedno silniej, raz drugie, ale wspierając się. Ostatnio wysłaliśmy dzieci na tydzień do teściów i żyliśmy przez ten czas życiem bezdzietnych lambadziarzy. I w pewnym momencie zauważyliśmy, że o nic się nie sprzeczamy. Mój mąż uśmiechnął się wtedy i mówi: „A pamiętasz, żebyśmy się kłócili przed dziećmi? Bo ja nie". Ta próba rodzicielstwa jest wymagająca, ale dzieci mają już osiem lat, niebawem pójdą do drugiej klasy, więc jest nam coraz łatwiej. Staramy się być rodzicami obecnymi w ich życiu i jest między nami dobra komunikacja, wydaje mi się więc, że będzie to procentowało. Chłopcy są coraz bardziej samodzielni, prowadzimy z nimi coraz ciekawsze rozmowy. To wspaniała przygoda.

Dobre wyniki „Okruchów złota" w internecie przekładają się na obecność tej piosenki w radiu?

Piosenka jest grana w Polskim Radiu i jego regionalnych rozgłośniach. Natomiast w największych komercyjnych stacjach, jak RMF, Zetka i Eska – nie. Odmówiono mi jej prezentacji. Żeby tam się przebić, trzeba mieć wsparcie dużej wytwórni albo internetowy viral. Paweł się śmieje, że musielibyśmy w miesiąc wykręcić 6 milionów odsłon naszego klipu, żeby nas zauważyli.

Twój ostatni album sprzed trzech lat „Cykl" zawierał bardzo nowoczesną muzykę o elektronicznym brzmieniu i klubowym rytmie. To za mocne granie na dzisiejszą Marikę?

Nie. Wykonuję przecież te piosenki na koncertach. Chciałabym jednak być artystką słuchaną i zrozumianą. Najbardziej zależy mi na tym, by to, co piszę w tekstach, nie przechodziło niezauważone. Dlatego staram się być raczej wierna temu, co jest w tekstach niż temu, co w muzyce. Oprawa dźwiękowa moich tekstów jest płynna, nie jestem niewolnicą jednego gatunku. Dawałam już wiele takich sygnałów. Płyta „Marta Kosakowska" z 2016 roku była zaskoczeniem dla tych, którzy byli przyzwyczajeni do Mariki z wcześniejszych albumów. Jedyną pewną, jeśli chodzi o stronę brzmieniową moich wydawnictw, jest zmiana. Natomiast jeśli chodzi o teksty, to staram się być koherentna i wielu dziennikarzy mówi, że są one niepodrabialne. Słychać, że to Marika je pisała.

Teksty z „Cyklu" były bardzo buntownicze i buńczuczne. Wykrzyczałaś w nich swój gniew i niezgodę?

Tak. Ale to się musiało stać. Przez kilka lat nagromadziło się we mnie tyle stresu i napięcia, że w końcu musiałam to z siebie wyrzucić. W 2018 roku urodziłam bliźniaki i znalazłam się w totalnym zamknięciu. Ustały niemal wszystkie moje kontakty towarzyskie, zniknęła wszelka spontaniczność, wyhamowałam swoją działalność muzyczną. A kiedy w 2020 roku wprowadzono lockdown, zostałam zaryglowana na drugi zamek. Wtedy zresztą życie zmieniło się nam wszystkim. Kontakty z drugim człowiekiem zostały zredukowane do rozmów przez maseczkę, maili i DM-ów. Potem przyszła agresja Rosji na Ukrainę i doszły kolejne lęki. Kiedy zniesiono lockdown, branża muzyczna była jedną z ostatnich, które wróciły do życia. Bardzo tęskniłam za ludźmi, za bliskością, za spontanicznością, za tym poczuciem, że można po prostu wyjść z domu i być razem. Tęskniłam też za Mariką – powołaną przeze mnie do życia personą: silną, wesołą, dziarską, pewną siebie i dowodzącą tłumami. Tego wszystkiego bardzo mi brakowało. Nagromadziło się we mnie mnóstwo emocji, które w końcu znalazły ujście na „Cyklu".

I pomogło?

Tak, pomogło. Wyrzuciłam z siebie sporo napięcia i dzisiaj jestem w zupełnie innym miejscu. Ale mam też poczucie, że świat, do którego wróciliśmy po pandemii, nie jest już tym samym świa-

eprasa.pl 5b705b0441

tem. Jestem świeżo po lekturze książki „21 lekcji na XXI wiek" Yuvala Noaha Hararіego, która bardzo mnie poruszyła. Już w 2018 roku pisał on, że demokracja liberalna przeżywa kryzys, a ludzie coraz częściej zwracają się ku nacjonalizmowi i populizmowi. Bardzo ciekawa jest też jego myśl, że trochę przegapiliśmy rewolucję technologiczną. Dawniej, kiedy dokonywały się wielkie społeczne zmiany, mieliśmy poczucie, że jako obywatele jakoś w nich uczestniczymy, chociażby poprzez wybory czy referenda. Tymczasem internet, algorytmy, a teraz sztuczna inteligencja zmieniły nasze życie bez pytania nas o zdanie. Rozwój biotechnologii i sztucznej inteligencji pędzi tak szybko, że wielu z nas zwyczajnie za tym nie nadąża.

Teraz to najbardziej budzi w tobie lęk?

Myślę, że stąd bierze się dzisiaj mnóstwo frustracji. Ludzie są coraz bardziej samotni, odcięci od siebie, a jednocześnie mają poczucie, że gdzieś ponad ich głowami dokonują się gigantyczne zmiany, które będą miały wpływ na ich życie. Że trochę przestało chodzić o nich i nikt ich nie pyta, czy są na to wszystko gotowi. To może budzić lęk. I być może dlatego tak chętnie zwracamy się ku prostszym narracjom, które dają nam poczucie, że znowu rozumiemy świat i mamy nad nim jakąś kontrolę. Ja swoją frustrację na „Cyklu" w dużej mierze wykrzyczałam. Tylko chyba coraz lepiej rozumiem, że ona nie była wyłącznie moja. W jakimś sensie płyniemy wszyscy na tej samej łajbie.

Przez ten czas, kiedy zostałaś mamą, zmienił się też polski show-biznes. Jak się w nim teraz odnajdujesz?

Staram się nadążać. Kiedyś byliśmy przyzwyczajeni, że w show-biznesie są przede wszystkim twórcy i wykonawcy, którzy dostarczają nam mniej lub bardziej intelektualnej rozrywki. Mówię zarówno o muzyce, jak i filmie, teatrze czy fotografii. A teraz pojawili się twórcy cyfrowi, którzy potrafią zrobić świetną rolkę, mem, TikToka czy viral i zgromadzić wokół siebie gigantyczną publiczność. Na początku chyba obie te grupy patrzyły na siebie trochę podejrzliwie. Dzisiaj coraz bardziej się przenikają. Influencerzy wchodzą do świata muzyki, muzycy uczą się robić rolki i TikToki. Ja też się tego uczę. (śmiech) Bardzo mnie ciekawi, co z tego wyniknie, bo niewątpliwie zmienia się definicja twórcy. Ktoś może nie umieć napisać piosenki, ale potrafi fantastycznie komunikować się z ludźmi i ma publiczność, której niejeden świetny muzyk może mu pozazdrościć. Wtedy spotyka się z songwriterem, producentem i razem coś tworzą. Czy to dobrze, czy źle? Nie wiem. Po prostu świat się zmienił i staram się go obserwować, zamiast się na niego obrażać.

Ty uczysz obecnie młodych ludzi pisać piosenki, ponieważ jesteś dyrektorką artystyczną ZAiKS Music Camp – najlepszego campu songwriterskiego w Polsce. Jak odkryłaś w sobie tę pedagogiczną żyłkę?



FOT. ŁUKASZ LANGDA

Marika: Uważam, że zróżnicowanie kulturowe, które mamy w Europie, jest czymś, co warto chronić, bo stanowi o naszej tożsamości

To pokłosie momentu, w którym podczas pandemii zadałam sobie pytanie: „Co chcę dalej robić ze swoim życiem?". Uznałam, że nie chcę brać udziału w wyścigu o zatrzymanie czasu. Kobiety, szczególnie w show-biznesie, są pod ogromną presją, żeby wiecznie wyglądać młodo. W „Patataj" śpiewam: „Nietknięte nos i usta, wolę swoją mieć mimikę". Nie chcę udawać dwudziestolatki, którą już nie jestem. Wolę oprzeć się na tym, co naprawdę jest moją wartością. A wiem, że umiem pisać piosenki. Mam ich już około 140, zdobyłam duże doświadczenie jako autorka, wokalistka, producentka, jestem polonistką, ale przede wszystkim uwielbiam pracować z ludźmi i mam ogromną wiarę w ich możliwości. Sama też mam w sobie dużo ciekawości, entuzjazmu i ciągle chce mi się tworzyć. I właśnie tym doświadczeniem i energią dzielę się teraz z innymi.

Na czym polegają te spotkania, które prowadzisz?

Co roku spośród kilkuset zgłoszeń wybieramy dwanaście młodych osób i spotykamy się na tydzień w Domu Pracy Twórczej ZAiKS w Sopocie. Zamieniamy największe pokoje w studia i przez ten tydzień właściwie nie przestajemy tworzyć. Uczestnicy pracują z doświadczonymi producentami i songwriterami, piszą piosenki, uczą się od nas, ale też bardzo zależy nam na tym, żeby zachowali własny język i szli za swoją intuicją. My nie chcemy ich przerabiać na jakiś wymyślony przez nas model artysty. W efekcie powstaje dwanaście autorskich singli, które potem przez cały rok wypuszczamy w świat. Każdy dostaje też profesjonalną sesję zdjęciową i teledysk. Te klipy robimy w szaleńczym tempie, bo na dwanaście mamy dwie doby, czyli mniej więcej tyle, ile w normalnym świecie robi się jeden. (śmiech) Ale jesteśmy bandą zapaleńców i jakoś to działa. Najważniejsze jest jednak coś innego. Bardzo wierzę w spotkanie i w to, co może się wydarzyć, kiedy utalentowani ludzie naprawdę pobędą ze sobą, pogadają, pograją, pokłócą się o refren, spróbują czegoś, czego wcześniej się bali. Wierzymy w siłę i urodę wspólnego procesu twórczego offline. W czasach, kiedy coraz więcej rzeczy robimy zdalnie albo z pomocą AI, chcemy tworzyć przestrzeń, w której najważniejszy jest drugi człowiek, jego talent, wrażliwość i wyobraźnia.

Przekuwasz również swe doświadczenia na walkę o prawa twórców i wykonawców w Polsce. Swego czasu miałaś nawet wystąpienie w Parlamencie Europejskim. Co cię napędza do takiej działalności?

Poczucie wspólnoty. I to nie tylko z moim muzycznym środowiskiem, ale w ogóle ze wspólnotą ludzi. Uważam, że zróżnicowanie kulturowe, które mamy w Europie, jest czymś, co warto chronić, bo stanowi o naszej tożsamości. Podobnie jak prawo autorskie, które przez lata wypracowaliśmy po to, żeby chronić twórców i ich pracę. Przez setki lat stworzyliśmy gigantyczne dobra intelektualne, które stanowią o bogactwie i migotliwości naszej kultury. Jeśli przestaniemy o nie dbać, po prostu bardzo zubożejemy. Oczywiście może jest trochę tak, że każde odchodzące pokolenie wygłasza swoje sakramentalne: „O tempora, o mores!". (śmiech) Ale trudno nie zauważyć, że coraz mniej czytamy, coraz krócej potrafimy się skupić i coraz więcej rzeczy oddajemy technologii. Dlatego jestem w gronie tych wariatów, którym jeszcze chce się podnosić głos i mówić, że są rzeczy warte ochrony. Nie chcę, żeby maszyny wyręczały nas w tworzeniu, bo nie mają naszego białkowego doświadczenia. Nie wiedzą, jak to jest kochać, bać się, tęsknić, czuć zapach, smak czy dotyk. Nie wiedzą, jak to jest przytulić własne dziecko i przez chwilę poczuć, że wszystko jest na swoim miejscu. I chyba właśnie artyści są między innymi po to, żeby ocalać i opisywać to, co najbardziej ludzkie. Im więcej technologii będzie wokół nas, tym bardziej będzie nam to potrzebne.

Wiele osób dobrze wspomina twoją obecność w telewizji, gdzie chociażby przez trzy sezony byłaś współprowadzącą „The Voice of Poland". Tęsknisz trochę za tego rodzaju pracą?

Czasami tak, bo to była naprawdę fajna przygoda. Dziś też pojawiam się w telewizji, ale jako gościni różnych programów, a nie prowadząca. Być może kiedyś znów będzie mi dane przeżyć tę przygodę. Za pierwszym razem wydarzyło się to zupełnie niespodziewanie. Prowadziłam festiwal muzyki reggae w Ostródzie, który transmitowała TVP. Ktoś ze stacji zobaczył mnie w tej roli i pomyślał, że mogłabym się sprawdzić również w „The Voice of Poland". Poszłam na casting jako kompletna amatorka i dostałam tę pracę. To było o tyle zabawne, że w ogóle o telewizji nie marzyłam, ani o tę pracę nie zabiegałam. Po prostu ktoś mnie zauważył i otworzyły się przede mną zupełnie nowe drzwi. Dzisiaj, kiedy odwiedzam telewizję, zawsze z przyjemnością witam się z ludźmi z produkcji i mówię, że gdyby mieli ochotę na moją bardziej stałą obecność, jestem otwarta. Dzieci podrosły, odzyskałam trochę przestrzeni i znowu mam na to czas. Może coś z tego wyniknie? Zobaczymy.

Powinnaś zdecydowanie wrócić do telewizji na stałe, choćby dlatego, że po prostu świetnie wyglądasz. To bycie mamą tak ci służy?

Dziękuję. (śmiech) Oczywiście widzę, że moje ciało się zmienia. Czas robi swoje, skóra nie jest już taka jak 10 czy 15 lat temu. Ale za to bardzo dużo zyskałam mentalnie. Czuję się dziś kobietą, a nie dziewczynką. Lubię swoją kobiecość, swoje doświadczenie i chyba jestem po prostu bardziej osadzona w sobie. Przy całej świadomości własnych słabości, jestem jednak mądrzejsza niż kiedyś. Zmienił mi się nawet głos. Trochę się obniżył i bardzo lubię te moje doły. Mam teraz więcej „mięsa" w głosie, więcej głębi. Chyba po prostu lepiej się ze sobą czuję. A to pewnie też widać z zewnątrz.

Stosujesz jakieś diety czy uprawiasz intensywnie sport?

Ze względów zdrowotnych stosuję dietę przeciwzapalną. Zmieniłam sposób odżywiania i bardzo mi to służy. Jem po prostu możliwie czysto: bez alkoholu, cukru, glutenu i wysoko przetworzonej żywności. Nie traktuję tego jako diety odchudzającej, tylko jako sposób dbania o siebie. I rzeczywiście mam dzięki temu dużo dobrej energii.

eprasa.pl 5b705b0441

SPORT NIEOCZYWISTY

13-letni Olek Dudziński wygrał w Czechach zawody w płukaniu złota

W przygranicznych Zlatych Horach odbyły się 32. Zawody w Płukaniu Złota. 140 zawodników z Czech, Polski, Słowacji i Szwajcarii rywalizowało przez dwa dni o złotą misę burmistrza miasta. Zlate Hory, podobnie jak sąsiednie Głuchołazy, mają tradycje w szukaniu złota sięgające średniowiecza

Krzysztof Strauchmann

Do Zlatych Hor w Czechach niedaleko Głuchołaz polska ekipa przyjechała ze Złotoryi, gdzie ten sport jest najbardziej popularny. Najbardziej skutecznym polskim zawodnikiem okazał się utalentowany junior, 13-letni Olek Dudziński, który wygrał w swojej kategorii wiekowej.

Dwie polskie trzyosobowe drużyny zdobyły także pierwsze miejsca w zmaganiach zespołowych.

Płukanie złota to dyscyplina sportowa

Płukanie złota jest sportem o uregulowanych zasadach. Międzynarodową federację tworzy obecnie 21 krajów, w tym Polska i Czechy.

Pod koniec września w Nowej Zelandii odbędą się Mistrzostwa Świata w Płukaniu Złota z udziałem polskiej reprezentacji. Każdy zawodnik dostaje wiadro z piaskiem, do którego sędziowie wrzucają od 5 do 12 ziarenek prawdziwego złota.

Zadaniem zawodnika jest jak najszybsze znalezienie i wypłukanie z piasku wszystkich kawałków kruszcu. Za każde zgubione ziarenko zawodnik dostaje dodatkowo karny czas. Najlepszym wypłukanie wszystkich ziarenek złota zajmuje mniej niż 2 minuty, a wszystko, co znajdą, mogą zabrać do domu, jako trofeum.

Zawody w Zlatych Horach organizowane są w skansenie górników złota w Dolinie Zaginionych Sztolni. Miasto odbudowało tam specjalną arenę z miejscami dla zawodników, którzy potrzebują dużej ilości wody.

Poprzednie miejsce do rozgrywania konkurencji zniszczyła powódź. Płynący obok potok Oleśnica to faktycznie teren złotonośny. Złoto występuje tam wtórnie w zakolach rzeki, przenoszone ze złoża pierwotnego na sąsiedniej Przecznej Horze. W okresie średniowiecza górnicy zbudowali długi kanał, przecinający stok, którym woda z Oleśnicy zasiliła zbudowane wzdłuż kanału młyny. Mielono w nich urobek, wyciągany z podziemnych sztolni, a potem rozkruszoną skałę wypłukiwano w wodzie, w poszukiwaniu złota.

Przed 20 laty lokalne władze odtworzyły młyny, odbudowały kanał. Potem powstał jeszcze budynek osady górniczej, wieże warowne i budynek pieca hutniczego. Wszystko to można w sezonie turystycznym zwiedzać w towarzystwie przewodnika, ale można też spacerować tam samodzielnie. Teren nie jest ogrodzony, a w tygodniu parking jest bezpłatny.



FOT. KRZYSZTOF STRAUCHMANN



FOT. KRZYSZTOF STRAUCHMANN

W Zlatych Horach wystartowało 1450 zawodników z kilku krajów

Złoto jest także w Polsce

Znane naukowcom tereny złotonośne leżą w gminie Głuchołazy. Największy w Jarnołtówku i Pokrzywnej (231 hektarów) w dolinie Złotego Potoku, drugi we wsi Konradów, wzdłuż potoku Starynka (57 hektarów) oraz w Podlesiu, w dolinie potoku Oleśnica.

Te potoki mają źródła na stokach góry Przeczna Hora w Górach Opawskich (czeska Zlathorska Wierchowina), leżącej ok. 5 kilometrów na południe od polskiej granicy w Konradowie.

Tam znajduje się złoże pierwotne, w tym słynny wśród geologów „złoty słup", czyli obszar górniczy Zlate Hory – Zachód. Złoto występuje tu jako jeden z licznych minerałów w skałach o pochodzeniu wulkaniczno - osadowym z okresu dewonu (420 do 360 milionów lat temu).

Zostały ślady średniowiecznych gwarków

Złoto kopali tu już Celtowie. W średniowieczu biskupi wrocławscy rywalizowali o tereny złotonośne z margrabiami morawskimi. Górnicy budowali w górach osady, kopali pierwsze sztolnie i szyby, a panowie umacniali kamienne zamki, żeby strzec swoich terenów wydobywczych.

W XVI wieku w całej Europie nastąpił gwałtowny rozwój górnictwa. W dzisiejszych Górach Opawskich górnicy budowali sztolnie, odwadniające kopalnie, długie na kilka kilometrów.

Stawiali koła wodne o średnicy kilkunastu metrów, konstruowali wodociągi nad dolinami, żeby dostarczyć wodę do płukania kruszców, przecinali wzgórza kanałami wodnymi. Pomiędzy dzisiejszymi Głuchołazami a Zlatymi Horami przez wieki ciągnął się „las" drewnianych szybów górniczych.

Wydobycie się nie opłaca

Po II wojnie światowej we wnętrzu Przecznej Hory w Czechach bardzo intensywnie wydobywano miedź, ołów, rudy cynku, ale także złoto i srebro. Zawartość tych ostatnich kruszców w tonie urobku była niewielka – 0,6 grama na tonę dla złota i 1,5 grama na tonę w przypadku srebra.

Więcej złota znajdowało się w zachodniej części złoża, pod szczytem Przecznej Hory, która jest bardzo rozległą górą. Tam eksploatacja zaczęła się później, w latach 70. W latach 1990 – 1994 z najbardziej złotonośnego złoża Zlate Hory - Zachód wydobyto 64 tysiące ton rudy, z której uzyskano 1184 kilogramy złota w koncentracie.

W 1994 roku wydobycie zakończono, bo spadła opłacalność, a zakład został zamknięty. Wejścia do szybów wysadzono w powietrze, tereny górnicze zostały ogrodzone i obsadzone młodym lasem.

300 dolarów z tony urobku

Do pomysłów o wznowieniu wydobycia wracano kilkakrotnie, zwłaszcza wtedy, gdy złoto drożało na światowych giełdach. W 2001 roku geolodzy przeprowadzili w rejonie złotego słupa kolejne badania, szacując, że jest tam ok .334 tysięcy ton rudy zawierającej 4,2 grama na tonę.

Całe złoże ma więc 1,4 tony złota, co przy dzisiejszych cenach jest warte na światowych rynkach 97,5 miliona dolarów amerykańskich (licząc przy kursie 1968 dolarów za uncje złota). Inne szacunki mówią o ok. 2 tonach, co daje jeszcze większą opłacalność, tym bardziej że są miejsca, gdzie złota wydobywano nawet 50 gramów z tony.

Na przemysłowym wydobyciu i na przerobieniu jednej tony podziemnego urobku w rejonie złotego słupa można zarobić ok. 290 dolarów.

Przy przeróbce przemysłowej, prowadzonej pod ziemią, jest to cena opłacalna, dlatego trzy lata temu czeska państwowa firma górnicza Diamo uzyskała od rządu koncesję na prowadzenie prac badawczych.

Zapowiedziano jednocześnie, że jeśli badania złoża potwierdzą dotychczasowe dane, firma będzie się starać o koncesję na rozpoczęcie wydobycia. Intensywne badania geologiczne prowadzono tam w roku ubiegłym, na razie nie ujawniono jakie są ich efekty.

eprasa.pl 5b705b0441

HISTORIA



FOT. NAC

28 sierpnia 1927 r. w Spale odbyły się pierwsze Dożynki Prezydenckie z udziałem Ignacego Mościckiego

Huculi, polityka i bigos. Dożynki w Spale w 1927 r.

Właśnie ruszyła fala lokalnych dożynek w całej Polsce – w tym roku będzie ich blisko 120. Centralne odbędą się w Spale 13 września. Tak jak 99 lat temu

Mariusz Grabowski

Dożynki to stały element oficjalnej agroideologii państwa polskiego. Organizowano je w dwudziestoleciu, w Polsce Ludowej, dobrze mają się także dzisiaj. Mało kto pamięta, że zwyczaj dożynkowania sięga korzeniami obyczajowości I Rzeczypospolitej.

Na koniec żniw

W dzisiejszej formie dożynki są połączeniem dwóch staropolskich zwyczajów: tzw. okrężnego oraz dożynek, które w przeszłości były osobnymi, blisko sąsiadującymi świętami.

Zygmunt Gloger w trzecim tomie „Encyklopedii staropolskiej" pisał, że „Okrężne, biesiada rolnicza w jesieni po sprzątnięciu wszystkich zbiorów, czyli po »okrążeniu« pól, skąd i nazwa okrężnego powstała. Okrężne tem się różni od dożynków, że dożynki oznaczają dożęcie oziminy i przyniesienie wieńca gospodarzowi z pola do domu. Okrężne zaś jest zabytkiem uczt jesiennych, znanych w przeszłości wielu narodom, wyprawianych po sprzątnięciu z pola wszystkich plonów".

Symboliczne zakończenie żniw miało też swą uroczystą oprawę religijną. W każdym kościele parafialnym święcono obrzędowe pieczywo oraz wieńce dożynkowe wykonywane przez wytypowane wcześniej okoliczne wsie. Wieńce miały dość różnorodne kształty, zazwyczaj były zakończone w formie krzyży, hostii, kielichów i koron.

Gdzie? W Spale

Trudno dociec, kto w otoczeniu prezydenta Ignacego Mościckiego studiował Glogera, ale na pewno byli tam tacy, którzy zadali sobie trud przejrzenia planów prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. To bowiem za jego kadencji narodził się pomysł organizacji wielkiego, ogólnonarodowego święta dowartościowującego wieś.

Wytypowano nawet miejsce – Spałę, maleńką miejscowość w dawnej Puszczy Pilickiej, którą Wojciechowski lubił odwiedzać. Wybudowano tam w 1923 r. drewnianą kaplicę w stylu narodowym według projektu Kazimierza Skórewicza. Poświęcenia fundamentów dokonał kapelan prezydenta prałat Marian Tokarzewski.

Po zamachu majowym nowym gospodarzem Spały został Ignacy Mościcki. Rok później, 28 sierpnia 1927 r., odbyły się tam pierwsze Dożynki Prezydenckie. Z jasnym przesłaniem: miały świadczyć o tym, że państwo dba o chłopów, stanowiących wówczas ponad 60 proc. mieszkańców Polski.

Chłop też człowiek

Ówczesną politykę II RP wobec chłopów nazwać można „bierną". W 1925 r. uchwalono co prawda reformę rolną, ale mało kto z polityków wieszczył jej powodzenie. Chłopi czuli się obywatelami drugiej kategorii, do czego przyczyniał się opresyjny aparat państwowy. Wieś była nękana podatkami i arbitralnie nakładanymi karami administracyjnymi. Włościanie byli również dyskryminowani w urzędach, traktowani – co potwierdzają liczne świadectwa – nierzadko z fałszywie pojętą postszlachecką pogardą.

Dodajmy do tego, że kilkanaście procent chłopów w pierwszych latach niepodległości i w dobie kryzysu nie jadało do syta, szczególnie na przednówku. Permanentnie, zwłaszcza na ziemiach wschodnich, powtarzały się lokalne przypadki okresowego głodu.

Czasy wielkich strajków chłopskich i brutalnych represji miały dopiero nadejść dekadę później, ale już w połowie lat 20. stosunki państwo–wieś dalekie były od stabilizacji.

Obiad z Mościckim

Co ciekawe, odzew chłopów na sygnał od państwa był nadspodziewanie pozytywny. Organizatorami dożynek były: Centralny Związek Kółek Rolniczych oraz podległe mu organizacje młodzieży wiejskiej i Związek Teatrów Ludowych. Do Spały przybyły delegacje poszczególnych ziem, nawet tak egzotycznych jak Huculszczyzna, oraz dzielnic całej Polski, w łącznej liczbie ok. 10 tys. osób. Licznie zjechali dziennikarze, a wydarzenie relacjonowało radio.

Jak zanotował w swoich wspomnieniach adiutant prezydenta por. Henryk Comte, uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem odprawionym przez prezydenckiego kapelana – ks. Mikołaja Bojanka, przy wzniesionym w centrum Spały ołtarzu polowym. Przed prezydenckim pałacykiem stanęło obszerne podium wyścielane kolorowymi dywanami.

Mościcki na początku uroczystości podziękował staroście dożynek za życzenia i odebrał wieniec od żniwiarek. Następnie nastąpił przemarsz pochodu dożynkowego przy dźwiękach orkiestr i kapeli ludowych. Korowód trwał przeszło godzinę, po czym goście dożynkowi zostali zaproszeni przez gospodarza na wspólny obiad. Przy stołach ustawionych w lesie wojskowe kuchnie polowe wydawały bigos, a bazary – piwo. Delegacje zaś, które składały wieńce, zasiadły do wspólnego stołu z prezydentem na polanie za pałacem.

Huculi i Górale

Sukces imprezy zdyskontowano rok później, gdy do Spały przybyło ok. 40 tys. ludzi. Tylko z Warszawy przyjechało 28 pociągów, nie licząc autokarów i innych środków transportu. Uroczystości trwały aż trzy dni.

Na stronach Lokalnej Organizacji Turystycznej w Spale czytamy: „Przed dożynkami w 1928 r., największymi w okresie międzywojennym, zbudowano okazały stadion i kuchnię z zapleczem. Stadion miał bieżnię długości 460 metrów i trybuny mogące pomieścić około 10 tys. widzów. Pośrodku widowni znajdowała się upiększona drewnianym wystrojem loża dla Prezydenta RP i jego gości. Na stadionie tym odprawiono przy polowym ołtarzu Mszę św. otwierającą spalskie dożynki. Tutaj też przebiegał ceremoniał składania wieńców dożynkowych".

Drugiego dnia dożynek odbyła się swoista defilada. Maszerowali m.in. „Hucuł i Góral, dwie dziewczyny z grabiami, dwóch chłopów z kosami, Ślązak i Kujawiak, dwie dziewczyny z sierpami, wóz siana i cztery dziewczyny z grabiami, dwie dziewczyny z grabiami, dwie dziewczyny z widłami, dwie dziewczyny na wozie, czterokołowy wóz, a na nim zboże, grupa chłopców i dziewcząt – cztery pary, orkiestra wiejska i wieniec ogólnopolski, czterech chłopów z cepami". To fragment książki Michała Słoniewskiego „Prezydencka Spała"

Idąc w pochodzie

Dożynki miały ogólnopaństwowy charakter aż do wybuchu wojny i natychmiast odżyły w robotniczo-chłopskim PRL-u. Spałę odsunięto w cień, a celebry odbywały się w różnych miejscach kraju: np. w 1946 r. w Opolu, w 1949 r. na wrocławskim Psim Polu, w 1973 r. w Białymstoku, a ostatnie, w 1987 r. w Wąbrzeźnie. Jednocześnie centralne uroczystości organizowano od 1955 r. w stolicy. Od lat 80. miały swoją religijną alternatywę na Jasnej Górze.

Propaganda Polski Ludowej lubowała się w zestawianiu „mrocznej przeszłości" i „słonecznego dzisiaj". np. „Gazeta Poznańska" w 1955 r. nazywała przedwojenne święto plonów w Spale „feudalnym hołdem chłopów składających wieńce dożynkowe jaśnie panom". Autor artykułu pisał z pasją: „Wyprawianie dożynek przez dziedzica miało charakter jałmużny i łaski. Krocząc z wieńcem dożynkowym i śpiewając piosenki dożynkowe, upokarzające często, na cześć rozwalonego na ganku dziedzica, biedota wiejska i dworska, poniewierana, żyjąca w nędzy i ciągłym strachu, nie robiła tego z własnej woli, ale z przymusu. Niejednokrotnie chłop i wyrobnik pańszczyźniany śpiewał przed dworem pieśni chwalące swego pana za jego rzekomą dobroć w miejscu, gdzie poprzedniego dnia otrzymywał tęgie kije".

Zataczając koło

Obchody święta plonów wkroczyły w nowy etap wraz z dojściem do władzy Edwarda Gierka. Jubileuszowe, XXX Dożynki Centralne w 1974 r. zorganizowano w Poznaniu, ze względu na spektakularne inwestycje i sukcesy, jakimi mogło w tym czasie poszczycić się to miasto: wybudowanie hali Arena, oddanie do użytku Trasy Hetmańskiej, narodziny półmilionowego obywatela Polski Ludowej i wyprodukowanie przez zakłady H. Cegielskiego setnej lokomotywy spalinowej.

„Po reformie administracyjnej kraju z 1975 r. dożynki centralne odbywały się w stolicach nowych województw, takich jak Leszno, Płock, Piotrków Trybunalski. Rozwiązanie takie miało zarówno promować samą reformę, jak i dowartościować mniejsze ośrodki wojewódzkie" – pisze Monika Milewska w tekście „Ukradzione święto. Dożynki w PRL".

Tradycja organizowania dożynek w Spale powróciła po 1989 r., stanowiąc wyraz „pielęgnowania związków z przeszłością historyczną i budowania tożsamości narodowej". Od 2005 r. uroczystości dożynkowe w Spale odbywają się rokrocznie we wrześniu już pod nazwą „Dożynki Prezydenckie".

eprasa.pl 5b705b0441

NAWIGATOR

Najdroższe śniadania w Polsce? Bo Poznaniacy chcą tyle płacić

– W Poznaniu wykształciła się z jakiegoś powodu kultura na takie bardziej kosztowne doświadczenia kulinarne, a brakuje nam tych podstawowych, takiego codziennego karmienia – mówi Jakub Tepper, poznański restaurator, którego wypytujemy, dlaczego ceny w kawiarniach i restauracjach Poznania są wyjątkowo wysokie oraz o to, co składa się na te ceny

Szymon Paź



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Jakub Tepper wraz z żoną Sungmin Han prowadzą w Poznaniu i Warszawie pięć restauracji

Mam wrażenie, że jeżeli jesteś Poznaniakiem i chcesz zjeść śniadanie na mieście za 25 złotych, to jesteś niczym Tom Cruise w „Mission Imposible".

Siedzimy w miejscu śniadaniowym i możesz zamówić... rzodkiewki za 22 złote. Ale poza tym jest ciężko na pewno w tak zwanych modnych miejscach. Nie wiem, czy jest opcja zjedzenia śniadania za 25 złotych.

A mamy jeszcze inne miejsca, nie tylko modne?

Mamy drobne sieciowe piekarnie, niektóre z nich oferują śniadania. Ale wydaje mi się, że do 25 złotych to musimy do Warszawy podjechać, do Lubaszki, żeby pojeść.

Byliśmy oszczędni, przynajmniej taki stereotyp o Poznaniu funkcjonował w całej Polsce. Staliśmy się rozrzutni?

Nie wiem. Może uwierzyliśmy, że to jest produkt, który tyle po prostu kosztuje.

A Twoim zdaniem?

Mniej więcej wiem, ile kosztuje wyprodukowanie tego produktu. Potem mamy perceived value, czyli wartość postrzeganą tego produktu, czyli krótko mówiąc: ile jest wart dla nas. I tu pojawia się pytanie: czy to śniadanie dla ciebie jest warte tyle, ile restaurator za nie chce? Wszyscy znamy teorię, że „rynek zweryfikuje", „rynek to wyceni". I się okazuje, że być może nie brakuje osób, dla których wyższe ceny – relatywnie wyższe ceny – są akceptowalne w danym doświadczeniu, w danym miejscu itd.

Co rusz w Poznaniu otwierają się kolejne miejsca z jedzeniem. Jeśli jesteśmy przy śniadaniach, to szczególnie. Na Jeżycach, gdzie rozmawiamy, można je zjeść co krok. Natomiast pojawia się pytanie, czy otwieranie tych kolejnych miejsc to nie jest już wskakiwanie na górkę ekonomicznego cyklu – jak w kryptowalutach, produktach kolekcjonerskich, na giełdzie itp. Myślę, że podobnie jest w gastronomii. Jeśli ludzie widzą, że sześciu się udało, potem dwóch kolejnym itd., to pojawiają się kolejne miejsca. Pytanie, jakie jest tak naprawdę zapotrzebowanie. Nie jestem przekonany, że jest nieskończona liczba osób, która będzie chciała, będzie miała czas i możliwości, by kupować nietanie, umówmy się, śniadania w kawiarniach.

Ale rozumiem też argumenty drugiej strony dotyczące wyższych cen. Np. restauracja otwarta od 12 do 22, serwująca posiłki obiadowe, ma to okienko czasowe bardzo, bardzo długie. Miejsce serwujące śniadanie ma cztery-pięć godzin. A czynsz jest taki sam itd. Można racjonalizować absolutnie wszystko.

Niemniej jest miejsce dla takich umownie droższych śniadań. Tylko w Poznaniu wykształciła się z jakiegoś powodu kultura na takie bardziej kosztowne doświadczenia kulinarne, a brakuje nam tych podstawowych, takiego codziennego karmienia.

Czy to nie dotyczy całej poznańskiej gastronomii, nie tylko śniadań? Obiad na mieście w niedzielę, a to przecież od dziesięcioleci poznańska tradycja, to często 100 złotych i więcej od osoby, o ile nie skierujemy się do miejsca nastawionego na „codzienne karmienie". Skąd te ceny?

Prawda, wydaje się, że to bardzo dużo. Trudno mi odpowiadać za osoby, które oferują tak wysokie ceny i dlaczego. Owszem, znając tę branżę od środka, mogę przeanalizować, że według mojego sposobu wyceniania tu albo tam marża na danym daniu jest ponadnormatywna. Więc wyjdźmy od tego, jak właściciele wyceniają menu. Wyróżniam dwie filozofie, przy czym to taka „chłopskorozumowa" teoria na własne potrzeby: tak dużo, jak goście są skłonni zapłacić, albo tak mało, by biznes się nadal spinał.

I wydaje mi się, że w dużej mierze dominuje – nie u wszystkich, nie wszędzie – trend, który uznaję za krótkowzroczny i krótkoterminowy: tak dużo, jak goście są w stanie zapłacić, tak dużo będziemy kasować, żeby jak najszybciej z tego skorzystać. To jest sposób myślenia, z którym ja się fundamentalnie nie zgadzam. Ponieważ wydaje mi się, że ta gra gastronomii w tzw. długą grę – tak mało, żeby biznes się nadal spinał – jest dużo sensowniejsza i dla mnie oraz mojej żony bardziej pociągająca. Bo oczywiście – chodzi o zarabianie. Ale mimo wszystko wydaje mi się, że gastronomia ma też pewną funkcję społeczną. Filozofia to jedno, potem przychodzi kalkulacja, ile to naprawdę kosztuje.

Właśnie wyobraziłem sobie matkę Polkę, która całe życie gotuje obiady dla rodziny, po czym wchodzi do restauracji i widzi schabowego za 50 czy 80 złotych

eprasa.pl 5b705b0441



FOT. RACHEL CLAIRE/PEXELS.COM

– Wszyscy znamy teorię, że „rynek zweryfikuje". I się okazuje, że być może nie brakuje osób, dla których wyższe ceny są akceptowalne

i łapie się za głowę. Jak jej te ceny wytłumaczyć?

Uważamy z żoną – wyguglaliśmy to z internetu, z Ameryki, lata temu – że pożądany koszt składników, tzw. food cost, w cenie dania to około 30 procent ceny. Czasem mniej – lepiej dla właściciela, czasem więcej – ceny składników nie są stałe.

Drugi koszt jest jasny – obsługa. Też modelowo jakieś 30 procent ceny. Oczywiście to zależy od formatu restauracji – ile osób zatrudniasz, tego, czy sam zajmujesz się obsługą i jak ten swój czas, swój najcenniejszy zasób, wyceniasz itd. – ale ludziom musisz zapłacić. Kolejny to lokal z mediami – jak się zmieścimy w 10 procent ceny, to jest fajnie. Do tego dochodzą kwestie administracyjne, wyposażenie – to się zużywa, trzeba je wymieniać itd. Czasem jest jeszcze koszt pieniądza – ludzie mają różne pomysły, zapożyczają się na otworzenie restauracji, na remont, na wystrój – trzeba to spłacić.

Więc to na pewno nie jest tak, jak oczekują niektórzy w internecie, że jeśli koszt składników to 10 zł, to „racjonalna" cena to 15 zł. No nie. Jeśli weźmiemy tego schabowego, którego dla rodziny zrobimy za 10 zł, to te 35 zł w restauracji to właśnie ten modelowy, 30-procentowy food cost.

Powiesz pewnie, że wychodzi jakieś 20-30 proc. do kieszeni na koniec dnia. I że pewnie można jeszcze podwyższyć ceny o 10-20 proc. Tak, na tym można dobrze zarobić. Ale w mojej opinii, żeby sensownie zarobić w gastronomii, to musisz po prostu karmić bardzo dużo ludzi. Bo jak otworzysz restaurację na 80 miejsc, a w ciągu dnia przyjdzie 60, to nie ma jak się spiąć finansowo. Jeśli wykarmisz odpowiednio dużo osób, to będziesz miał zyski.

Kolejna internetowa opinia o cenach w restauracjach: we Włoszech, w Grecji itd. zjemy do syta za kilkanaście euro do osoby i będziemy zachwyceni. Czym restauratorzy tam różnią się od polskich?

Przeczytałem na Twitterze ciekawą wypowiedź – nie pamiętam kogo, przepraszam – że w tych krajach, ale też w bliskiej mi Japonii, często ci restauratorzy pogodzili się z faktem, że oni są klasą średnią. Jakby nie ma w nich, oczywiście nie w każdym, wiecznej aspiracji do nie wiadomo czego. „Prowadzę ten lokal, taki jest mój poziom dochodów i miejsce na drabinie społecznej, wypełniam po prostu funkcję społeczną". U nas, wydaje mi się, że nadal jest bardzo wiele osób mających aspiracje, jest mocne parcie na więcej i szybciej. Przede wszystkim szybciej.

Ten model, którym tak się zachwycamy na wakacjach i w którym właściciel obsługuje gości, a pół jego rodziny krząta się w kuchni lub na sali, zyskiem jest płaca za pracę, a nie sama marża, u nas się nie przyjął?

To kwestia tego, czy chcesz rozwijać się jako biznes, czy po prostu mieć swoją knajpę. Znam niemało osób, które nie mają wielkiej firmy, a prowadzą po prostu swoje restauracje i spędzają w nich czas na co dzień – chcą po prostu mieć swój lokal, codziennie przychodzić do pracy i gościć ludzi. Fantastyczna robota, świetne to jest. Natomiast nie wiem, czy to ma większe znaczenie w kontekście np. cen w menu.

Z drugiej strony bardzo szanuję taki japoński etos, gdzie oni rano, nawet o 4.00, przychodzą do swojej knajpy, przygotowują, a potem serwują jedzenie. To jest piękne. Ale nie znam nikogo w Polsce, kto chciałby tak pracować, żadnego właściciela też nie. To taki pozytywizm do kwadratu, ale to też bardzo ciężka praca.

Jeśli weźmiemy tego schabowego, którego dla rodziny zrobimy za 10 zł, to te 35 zł w restauracji to właśnie ten modelowy, 30-procentowy food cost

JAKUB TEPPER
restaurator

Zapytałem Cię już o stereotypową poznańską oszczędność i niejaką rozrzutność w kontekście cen w restauracjach. Czy w tym, co powiedziałeś, nie przebija się też chciwość?

Myślę, że tak. Niestety, żyjemy w takich czasach –nie wiem, czy jest tak tylko u nas – w których cierpliwość i długoterminowość w podejściu do biznesu i nie tylko jest na wymarciu. Chcemy wszystko teraz, natychmiast. Widzimy na Instagramie, że w zasadzie każdy spędza 400 dni w roku na Bali itp. Więc to pewnie budzi jakąś frustrację u osób, które tak nie potrafią. Mało tego, żyjemy też w erze ogromnego, brzydko mówiąc, farmazoniarstwa finansowego. Co chwilę jesteś bombardowany informacjami, kto ile na czym szybko zarobił – deweloperka, flipy, krypto itd. Siedzisz przed telefonem i myślisz: ale jestem megafrajerem, gdzie są te moje pieniądze? Nie mam żadnych dowodów, że jedno wpływa na drugie, ale jestem w stanie sobie wyobrazić scenariusz, w który jest grupa osób, która mówi: tracę czas, wszystko mi ucieka, oni wszyscy już odjechali, muszę szybciej i więcej. Więc jeśli statystycznie jest to duża grupa, to część tej grupy będzie też w gastronomii.

Myślę, że poniekąd wynika to z naszej historii – w miarę uczciwe dorabianie zaczęło się niecałe 40 lat temu. To, co w innych kraje budowały trzy, cztery czy pięć generacji, my musimy w jedną. Chcemy być na równi, musimy nadrobić.

Jakie są jeszcze grzechy polskiej gastronomii?

Braku uczciwości i transparentności. Wobec fiskusa, wobec pracowników. Wobec gości też, np. wykorzystanie innych składników niż zapisane w karcie. To wszystko owiane jest jakąś tajemnicą, bo niby „pieniądze lubią ciszę". Jezu, jesteśmy na takim etapie naszego rynku, że powinniśmy wdzięczni być każdej jednej osobie, która przyjdzie i zamówi u nas jedzenie. Mamy wiele do nadrobienia, tych parę pokoleń. A my z tego robimy wielką tajemnicę: ze składników, z rentowności itd. Z jednej strony to męczące, a z drugiej strony skutkuje to tą nieuczciwością.

Ale są też tego plusy – jeśli jesteś rzeczywiście transparentny, otwarty, komunikujesz jasno swoje wartości, które rezonują z wieloma ludźmi, to ta poprzeczka, żeby zaskarbić sobie pewną ufność ze strony gości, jest bardzo nisko zawieszona. Ale jeśli w Polsce wyróżnikiem jest to, że serwujesz wodę z kranu za darmo, to umówmy się: jak nisko jest ta poprzeczka?

Jakub Tepper

Poznański restaurator, który wraz z żoną Sungmin Han prowadzi w Poznaniu i w Warszawie 5 restauracji. Min zasłynęła wpierw w Poznaniu serwując, jako jedna z pierwszych w Polsce, ryżowe kanapki onigiri na rogu ulic Taylora i Kościuszki. Potem otworzyła na ul. Kraszewskiego na Jeżycach swoją autorską restaurację Min's Table, obok której wyrósł z czasem stworzony z mężem Kim Chi Ken – lokal, w którym serwowany jest głównie smażony kurczak na sposób koreański. Dziś Kim Chi Ken znajdziemy też w Starym Browarze w Poznaniu i na ul. Marszałkowskiej w Warszawie. Małżeństwo prowadzi też Tonari – restaurację z tradycyjną kuchnią japońską, w której menu dominuje ramen.

eprasa.pl 5b705b0441

KINO PRL

„Przyjaciel wesołego diabła”. Magia i przygoda made in PRL

Niektórzy opuszczali kina roztrzęsieni, z poczuciem traumy, inni zaś odchodzili od ekranu zachwyceni, twierdząc, że mieli właśnie do czynienia z pierwszą rodzimą superprodukcją fantasy z krwi i kości. Niezależenie od opinii trzeba przyznać, że to, co oferował widzom nakręcony 40 lat temu „Przyjaciel wesołego diabła”, było nad Wisłą zupełnym novum, a stwór Piszczałka zawładnął sercami małych i dużych Polaków

Wojciech Obremski

Można śmiało nazwać Jerzego Łukaszewicza „Stanisławem Jędryką lat 90.”. Po zmianach ustrojowych odpowiadał za reżyserię fantastycznych seriali dla najmłodszych, realizowanych przeważnie z partnerami niemieckimi. Były to m.in. „Tajemnica Sagali”, „Słoneczna włócznia” czy „Wow”.

Jednak Łukaszewicz swoją przygodę z kinem dla młodych widzów rozpoczął jeszcze w drugiej połowie lat 80., kiedy to zasiadł w fotelu reżysera filmu „Przyjaciel wesołego diabła”, opartego na powieści Kornela Makuszyńskiego z 1930 roku. Film był pierwszą fabularną produkcją Studia Małych Form Filmowych Se-Ma-For, a Łukaszewicz był także twórcą scenariusza i zdjęć.

Mistrzostwo charakteryzacji

Wyszła z tego całkiem zgrabna i nieźle opowiedziana historia fantasy (w dość znaczący sposób różniąca się od książkowego oryginału), niekoniecznie przeznaczona dla dzieci. Rzecz jasna, nie było co porównywać efektów specjalnych z tymi stosowanymi w produkcjach zza oceanu, jednak chwalono i je. „Są wybuchy i grzmoty, błyskawice i iskry. Spadające głazy i oplatające mocnym uciskiem liany” – pisał „Świat Młodych”. Film odznaczał się niesamowitym, mrocznym klimatem, odpowiednią scenografią oraz elektroniczną muzyką Marka Bilińskiego. Do tego świetna gra aktorska i kostiumy.

Właśnie, kostiumy. W rolę tytułowego „diabła” Piszczałki wcielił się Piotr Dziamarski, którego charakteryzacja okazała się prawdziwym majstersztykiem. To zasługa Waldemara Pokromskiego, autora charakteryzacji do kultowego horroru „Wilczyca”, a także do światowych produkcji w reżyserii Romana Polańskiego („Pianista”), Stevena Spielberga („Lista Schindlera”) czy Andrzeja Wajdy („Katyń”, „Wałęsa. Człowiek z nadziei”). Pokromski odpowiadał również za charakteryzację aktorów w superprodukcji z 2016 roku „Kapitan Ameryka. Wojna bohaterów”.

Wracając do „Przyjaciela wesołego diabła”: to opowieść, której fabuła bez dwóch zdań mogłaby posłużyć w Hollywood za scenariusz monumentalnego obrazu. Od niepamiętnych czasów mieszkańcy Krainy Jasności pozostają w konflikcie z potężnym Duchem Ciemności, władcą mrocznego królestwa. Jedynym człowiekiem, któremu udało się niegdyś pokonać jego labirynt i powrócić z tej niezwykłej krainy, jest Witalis – człowiek mądry i dobry (w tej roli Franciszek Pieczka). Pewnego dnia na Witalisa spada jednak nieszczęście – niespodziewanie traci wzrok. Jedyną nadzieją na jego odzyskanie jest wyprawa Janka (imię znamy z książki, bo w filmie nie pada ono ani razu), wychowanka Witalisa, do królestwa Ducha Ciemności. Młody bohater (grany przez Waldemara Kalisza) na swej drodze spotyka dziwnego stwora, którego atrybutem jest ogromny, powyginany widelec, mający nadzwyczajne właściwości. Obaj przemierzają fantastyczne krainy, pokonują trudności mrocznego labiryntu, by w finale stoczyć pojedynek z Duchem Ciemności.

Przed Osłem ze „Shreka” był Piszczałka

„Dla obecnego pokolenia 40-latków film ten jest jednym z symboli ich dzieciństwa, niezależnie od tego, czy uciekali w popłochu przed Piszczałką, czy próbowali go naśladować” – pisze Rafał Jaśkowski na portalu Pleograf.pl, zauważając, że do dziś internetowe fora są pełne opisów „największej traumy dzieciństwa”, jaką miał być dla dzisiejszych dorosłych „Przyjaciel wesołego diabła”. „Wspominają oni, jak to uciekali z kin, zanosili się płaczem na widok Piszczałki i budzili z przerażeniem w nocy, gdy tylko przyśniła im się postać diablika. Niektórzy byli ponoć tak przerażeni, że traumę wywoływała u nich nawet ścieżka dźwiękowa” – dodaje Jaśkowski.

Ciekawostką jest fakt, że diabeł Piszczałka mówi głosem Jerzego Stuhra, którego nazwisko nie figuruje w obsadzie filmu. Był to celowy zabieg – chodziło o to, by głos identyfikowany był tylko z postacią bohatera, w którego wcielił się Piotr Dziamarski.

– Podkładałem głos dla tego diabła, Piszczałki. Jezu, widziałem, ile to radości, jak dzieci się zachowywały, kiedy usłyszały te moje głupie dowcipy, bo wszystkie sam wymyślałem – wspominał na łamach magazynu „Atest” Stuhr, dla którego była to pierwsza przygoda z dubbingiem.

Zdjęcia do filmu powstawały m.in. w zamkach w Mirowie w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej oraz Krzyżtopór w Ujeździe, a także w wąwozach lessowych pod Kazimierzem Dolnym, w masywie Szczelińca oraz nad Bałtykiem. Jak widać, zadbano o krajobrazową różnorodność, której nie powstydziłby się zapewne sam Peter Jackson, kręcąc swoją tolkienowską trylogię.

„Przyjaciel wesołego diabła” wszedł na ekrany kin w lutym 1987 roku, zaś 30 stycznia 1989 roku widzowie mogli zobaczyć pierwszy odcinek serialu „Przyjaciele wesołego diabła”, opartego o film kinowy (tytułowego „przyjaciela” zastąpili „przyjaciele”).

I tutaj mamy absolutną nowość – i nie był nią fakt, że przy okazji kręcenia filmu powstał też bazujący na nim serial czynność ta była bowiem praktykowana od lat. Chodzi o to, że historia znana z filmu ukazana była w zaledwie trzech odcinkach. Pozostałe dwa epizody to zupełnie nowa opowieść, dziejąca się w XX wieku. To tak jakby Łukaszewicz oprawił swoje dzieło w ramy innego, uwspółcześnionego.

Ze średniowiecza do Polski Ludowej

Bohaterem serialu jest poruszający się na wózku inwalidzkim dziesięciolatek o imieniu Bi (Zenobi), który spotyka Piszczałkę. Kudłaty stwór pokazuje chłopcu pewien kryształ, a jego czarodziejska moc sprawia, że Bi przenosi się w odległą przeszłość. Poznaje losy swego rówieśnika Janka oraz jego przybranego ojca, co jest, de facto, historią ukazaną w filmie „Przyjaciel wesołego diabła”, lecz w skróconej wersji. To również było nowością, gdyż powstałe na podstawie filmów seriale zawierały zazwyczaj więcej materiałów w stosunku do kinowych oryginałów, zaś w tym przypadku było na odwrót. Serial kończy się, gdy Bi, pokonując własną słabość, odrzuca swój wózek i odzyskuje władzę w nogach.

W roli Bi'ego wystąpił Rafał Synówka. Nie był to jego debiut – chłopiec miał już za sobą role w filmach „Cienie” i „Zero życia”, jednak po zagraniu w „Przyjaciołach wesołego diabła” wycofał się z branży, mimo że za swoją rolę otrzymał nagrodę Poznańskich Koziołków dla najlepszego odtwórcy roli dziecięcej. Synówka obecnie przebywa w Niemczech, gdzie pracuje na tamtejszej poczcie. – Przypomina mi to trochę Laskowika – żartował, jednocześnie podkreślając, że nie wyklucza powrotu na filmowy plan. Jak przyznał, chętnie wróciłby do grania. – Mam nawet pomysł na reaktywację „Przyjaciela diabła” tyle że dla dorosłych. Niestety, to odległe marzenia – mówił pan Rafał.

W ojca chłopca wcielił się Jacek Chmielnik. Warto dodać, że w odcinkach, nazwijmy to „współczesnych”, w roli Piszczałki wystąpił inny niż w wersji filmowej aktor. Piotra Dziamarskiego zastąpił Franciszek Ćwirko, jednak ucharakteryzowanego Dziamarskiego widać również – w scenach pochodzących z „Przyjaciela wesołego diabła”. Dubbing pozostał ten sam – Piszczałka znowu przemówił głosem Jerzego Stuhra.

„Przyjaciele wesołego diabła” spodobali się nie tylko widzom. „Dawno nie mieliśmy na ekranie telewizyjnym serialu, który aż prosiłby o jeszcze” – rozpływał się w zachwytach magazyn „Film”.

I owo „jeszcze” nastąpiło: w lipcu 1989 roku do kin weszły „Bliskie spotkania z wesołym diabłem”. Nie był to jednak dalszy ciąg serialu, tylko jego zmieniona, filmowa wersja, skupiająca i rozbudowująca wątki, które w serialu działy się współcześnie. Różni się też nieco fabuła – m.in. magiczny kryształ tym razem nie opowiada historii sprzed wieków, tylko... leczy chłopca, dzięki czemu staje on na własnych nogach.

Owa trzecia odsłona z uniwersum Piszczałki nie spotkała się ze zbytnim uznaniem widzów, a już na pewno nie krytyków. „Jest wesoło, wesoluchno, wesolutko, wesoluteńko – jakby powiedział skłonny do żartów tytułowy (oczywiście wesoły) diabeł. Tyle tylko, że jest to wesołość wujków, którzy pochylają się nad dzieckiem, robią niezbyt mądre miny i powtarzają: No uśmiechnij się, kotku. Czemu się nie śmiejesz?” – pisał „Film”.

Najwyraźniej twórcy przedobrzyli, jednak mimo wszystko „Przyjaciel wesołego diabła” pozostaje w pamięci widzów jako produkcja, która przerażała, bawiła lub zachwycała, a już na pewno nie pozwalała przejść obok siebie obojętnie.



FOT. CC

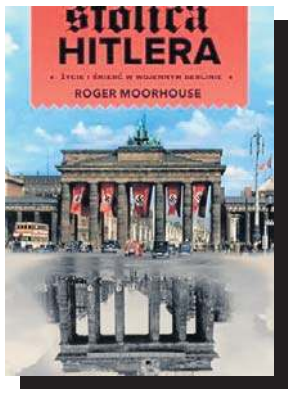
„Przyjaciel wesołego diabła” oparty jest na powieści Kornela Makuszyńskiego z 1930 roku

eprasa.pl 5b705b0441

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY



Poleca
Agaton Koziński



Jak Berlin stał się miastem śmierci

Rogera Moorhouse'a poznałem mniej więcej 10 lat temu. Mało jeszcze znany, ale w Polsce błyskawicznie nabierał rozgłosu. Z prostej przyczyny: pisał o naszej historii w okresie II wojny światowej. W dodatku pisał o nas jako o podmiocie, nie jako o scenie teatru wojennego. Pokazywał losy Polski takimi, jakie one były, analizował nasze słabe i mocne strony, nasze szanse i możliwości. Uczciwie, dokładnie, ciekawie. I na tematy, których świat nie znał – choćby o Pakcie Ribbentrop – Mołotow, który ustawił losy Polski w 1939 r., a którego Zachód konsekwentnie wolał nie dostrzegać. To Moorhouse mu o tym przypomniał, jasno nazywając go „paktem diabłów".

Teraz Roger wrócił z nową książką. Już nie o Polsce, ale dalej bardzo ciekawie. Zajął się Berlinem. Można by sobie wyobrazić, że w czasie II wojny było to najbezpieczniejsze (przynajmniej do czasu alianckich nalotów) miasto Europy. Moorhouse rozwiewa to przekonanie. Berlin zmagał się nie tylko z problemami wojny, ale też z wszechobecnym gestapo i wysoką przestępczością. A w 1945 roku stał się miastem śmierci. Na własne życzenie.

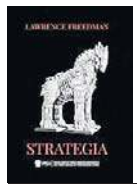
Roger Moorhouse „Stolica Hitlera. Życie i śmierć w wojennym Berlinie", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 99,99 zł



Jedno wieczne miasto, dwa światy

Rzym – jak żadne inne miasto – łączy w sobie dwa różne światy: świat religii i świat władzy. Ta książka opisuje efekty tej hybrydy.

Jessica Warnberg „Rzym miasto Boga. Opowieść o świętości i władzy", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 79,99 zł



Z dziejów strategii. Jak ewoluowało myślenie o niej

„Taktyka bez strategii to hałas poprzedzający klęskę" – pisał Sun Tzu. Ta książka stanowi przegląd ewolucji działań strategicznych na przestrzeni dziejów.

Lawrence Freedman „Strategia. Historia", wyd. PISM, Warszawa 2026, cena 92 zł



Mapa wyboru i myślenie pytaniowe

Poradnik dla menedżerów ze zbiorem narzędzi pozwalających im skuteczniej zarządzać. Autorka wskazuje, że wszystko zaczyna się od właściwie sformułowanego pytania.

Marilee Adams „Myślenie pytaniami", wyd. Studio Emka, Warszawa 2026, cena 49 zł



Między Europą a Dalekim Wschodem

Ishiguro, noblista z 2017 roku, w kinach. Mamy też wznowienie powieści z 1982 r. Znów mamy mieszankę kulturową Europy i Dalekiego Wschodu. I typowe dla autora ciepło.

Kazuo Ishiguro „Pejzaż w kolorze sepii", wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 54,90 zł



Dziennikarze na tropie sprawy życia i śmierci

Remigiusz Mróz swój thriller osadził w realiach świata mediów. Dziennikarskie śledztwo w sprawie tajemniczej śmierci okazuje się początkiem pełnej zwrotów akcji.

Remigiusz Mróz „Świat jest teatrem", wyd. IV Strona, Poznań 2026, cena 52,90 zł



Jak pozbyć się kobiety? Oskarżyć ją o czary

Osadzona w realiach Skandynawii XVII wieku opowieść o kobietach i ich pozycji społecznej. Oskarżenie o czary okazywało się wtedy wygodnym sposobem na ich wykluczanie.

Anya Bergman „Wiedźmy z Vardø", wyd. Insignis, Kraków 2026, cena 59,99 zł



Samotność mężczyzny

Bohaterami tej książki są nastolatek oraz młody malarz. Ich życie toczy się jakby równolegle (chodzi dzieli je 16 lat), ale łączy jeden wspólny mianownik: samotność.

Tomasz Maruszewski „Szeleścidło", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 54,90 zł



Co się dzieje, gdy przekraczamy granice norm

Wznowienie klasycznej książki Johna Irvinga. Jak zwykle u tego autora mamy rozważania o granicach moralności i norm społecznych obowiązujących w połowie XX w.

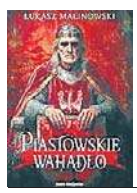
John Irving „Regulamin tłoczni win", wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2026, cena 74,99 zł



X-Meni znowu ruszają na ratunek świata

Po raz kolejny X-Meni muszą zmierzyć ze swoim arcywrogiem Apocalypse. Stawka? Przyszłość świata. Miejsce rozgrywki? Nowy Jork.

Aron Coleite, Jeph Loeb, Mark Brooks, David Finch i inni „Ultimate X-Men", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 199,99 zł



Piastowska odpowiedź na „Grę o tron"

Zbeletryzowana – i to bardzo – biografia Bolesława Wstydliwego. A przy okazji otrzymujemy barwną powieść o czasach średniowiecznej Polski. Krajowa „Gra o tron".

Łukasz Malinowski „Piastowskie wahadło", wyd. Skarpa Warszawska, Warszawa 2026, cena 52,90 zł



Życie jak pudełko czekoladek

Powieść o nieoczekiwanych zwrotach akcji w życiu. Laurze umiera mąż. Pogrążona w żałobie jedzie do Armenii, gdzie dowiaduje się o tej części życia partnera, której wcześniej nie znała. Z jakim skutkiem?

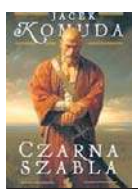
Ewa Cielesz „Szum", wyd. Axis Mundi, Warszawa 2026, cena 49,90 zł



Mamy kontakt. Ludzkość kontra kosmici

Nie jesteśmy sami we wszechświecie? Russell kreśli wizję, w której w połowie XXI wieku ludzkość wychwytuje sygnały innej cywilizacji. Jak będzie wyglądać nawiązanie pierwszego kontaktu?

Mary Doria Russell „Wróbel". wyd. Vesper, Warszawa 2026, cena 89,90 zł



Wszystko najlepsze, co potrafi dać Komuda

Wartko napisana powieść o złotych latach I RP. Jak zwykle u Komudy szabla śmiga, wojacy niczego się nie boją, a białogłowy są najpiękniejsze.

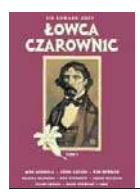
Jacek Komuda „Czarna szabla", wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2026, cena 49,90 zł



Można uciec z Ziemi, ale za to płaci się cenę

Saga science fiction o życiu kolonii ziemskich osadników na planecie Imir. Systemy podtrzymywania życia zawodzą. Jak wybrnąć z pułapki?

Adrian Tchaikovsky „Dzieci Pamięci", wyd. Vesper, Poznań 2026, cena 84,90 zł



Dziki Zachód to nie tylko Indianie, to także duchy

Dziki Zachód i tajemnice paranormalne. Nimi zajmuje się Edward Grey.

Allie Scott, John Arcudi, Mike Mignola, Kim Newman, Patric Reynolds „Sir Edward Grey. Łowca Czarownic", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 179,99 zł



Jak Tyrmand rozliczał się z komunizmem

Tyrmand dokonuje swojego rozrachunku z komunizmem. Znany PRL-owski playboy w drugiej połowie życia postanowił odwrócić perspektywę.

Leopold Tyrmand „Porachunki osobiste", wyd. MG, Warszawa 2026, cena 59,99 zł

eprasa.pl 5b705b0441

100 WPŁYWOWYCH KOBIET

Z pasji, odwagi i potrzeby działania, by zmieniać region krok po kroku

100 wpływowych KOBIET

Każda z nich idzie własną drogą, ma swoją historię, doświadczenia, pasje i własny sposób patrzenia na świat. Poznajciepierwsze uczestniczki akcji 100 Wpływowych Kobiet.

Ich historie są różne, ale łączy je jedno: siła, odwaga i potrzeba działania. To opowieści o kobietach, które nie czekają, aż rzeczywistość zmieni się sama lub ktoś inny ją poprawi. Działają mimo przeszkód, konsekwentnie realizują swoje pomysły i walczą o to, co jest dla nich ważne. Biorą odpowiedzialność za wspólnotę i nie boją się zabierać głosu w ważnych dla nich sprawach. A ich działalność przynosi realne zmiany. - Jeśli komuś wydaje się, że sukces przychodzi łatwo, lektura tych historii szybko wyprowadzi go z błędu. Za tym, co dziś wygląda jak spełnienie marzeń, stoją lata pracy, setki prób i niejedna porażka. One jednak po każdej z nich podnosiły się i próbowały raz jeszcze. Z odwagą patrzyły przed siebie, udowadniając sobie i innym, że stać je na więcej. I właśnie dlatego ich historie są tak inspirujące, bo pokazują, że wielkie zmiany często zaczynają się od jednej decyzji, jednego pomysłu i jednej osoby, która postanawia działać - Katarzyna Adamczyk, która opiekuje się akcją 100 Wpływowych Kobiet od strony redakcyjnej.

Jedne budują swoje firmy, inne rozwijają kulturę, sport, edukację czy działalność społeczną. Historie, które przeczytacie, opowiadają o drodze, która doprowadziła je do miejsca, w którym są dziś, o tym, z czego są dumne, o ludziach, którzy je inspirowali, i o tym, dlaczego wciąż chcą działać i zmieniać swoje otoczenie.

Na listach przygotowanych przez Kolegia Redakcyjne wszystkich dzienników regionalnych Polska Press Grupy znalazły się nazwiska kobiet reprezentujących różne dziedziny życia. Każda z nich jest inna, ale każdą cechuje niezwykła energia, konsekwencja i skuteczność w działaniu. Wojewódzkie głosowanie już się rozpoczęło! To właśnie Czytelnicy i Internauci zdecydują, które z nominowanych kobiet zasługują na tytuł najbardziej wpływowej kobiety w swoim regionie i awansują do ogólnopolskiego finału akcji 100 Wpływowych Kobiet.

Możliwe, że niektóre z tych Pań znacie od lat. O innych być może usłyszycie po raz pierwszy. Wszystkie jednak mają coś do powiedzenia o tym, jak zmieniać świat wokół siebie, krok po kroku. **Więcej o akcji na: polskanews.pl/100-kobiet**

IWONA BORAWSKA

Iwona Borawska (founderka i CEO The Process, interim managerka i doradczyni biznesowa, Warszawa) kilka lat temu dostała na jednym z portali bardzo długą wiadomość. Zaczynała się od zdania: „Dziękuję, dzięki Pani odważyłam się na ten krok”. - Przeczytałam ją kilka razy. Wtedy pierwszy raz zrozumiałam, że mój głos ma realną wagę: że ktoś po drugiej stronie ekranu podjął na jego podstawie decyzję o swoim życiu zawodowym - mówi.

Od tamtej pory bycie silną i wpływową kobietą rozumie przede wszystkim jako odpowiedzialność. Marka osobista z zasięgiem to nie jest kolekcja obserwujących. To świadomość, że zdanie wypowiedziane w podcaście albo napisane w poście może stać się punktem zwrotnym w cudzej decyzji: o zmianie pracy, o zwolnieniu członka zespołu, o wejściu na nowy rynek, o zamknięciu nierentownej linii produkcyjnej. - Dlatego nie mówię rzeczy, których sama nie sprawdziłam w praktyce i nie sprzedaję łatwych odpowiedzi tam, gdzie ich nie ma - podkreśla.



Od zawsze na pytanie o źródło dumy pada z jej ust ta sama odpowiedź: z synów. - I choć jest to strefa prywatna, a nie zawodowa - często właśnie o tym mówię. Bo bycie mamą - czyli budowanie fajnej relacji z młodymi ludźmi i jednoczesne prowadzenie biznesu - nie jest proste - uważa. Zawodowo? Najbardziej jest dumna z tego, że po drodze nie musiała przestać być sobą. - Nie słucham rad, że zawodowo to musi być na poważnie. Że profesjonalizm oznacza brak lekkości czy humoru. I właśnie to jest moją największą przewagą. Wchodzę do firmy i pierwsze, co widzę, to nie schemat organizacyjny, tylko ludzie: kto naprawdę trzyma wiedzę, kto się boi odezwać przy prezesie, kto od trzech lat robi robotę za dwie osoby i nikt tego nie zauważył. Właściciel widzi wynik. Ja widzę, skąd ten wynik się bierze i kiedy przestanie przychodzić. Bez tej wrażliwości nie da się przebudować organizacji, można ją najwyżej opisać w prezentacji - twierdzi.

Jej rada? „Uwierz w moc liczb”. - Zacznijcie od trzech: ile zarabiacie na godzinie swojej pracy, która część waszej oferty przynosi najwięcej marży i ile kosztuje was klient, którego nie chcecie stracić.

MARTYNA GUBA

- Kiedyś myślałam, że silny człowiek to ten, który się nie przewraca. Dziś powiedziałabym: silny człowiek potrafi zobaczyć, co zostało po upadku, i zdecydować, co chce z tego zbudować - mówi Martyna Guba (twórczyni projektu Odcienie Kobiecości, Warszawa). To właśnie doświadczenia i kryzysy zmieniły sposób, w jaki patrzy na siłę i sprawczość. Nie rozumie ich już jako nieustannej walki czy konieczności udowadniania swojej wartości. Ważniejsze stało się dla niej pytanie, co można zrobić z tym, co pozostaje po trudnych doświadczeniach. Odpowiedzią na tę filozofię stały się Odcienie Kobiecości - projekt i kobiece wyjazdy stworzone przez Gubę w czasie pandemii. Ich centrum stanowiło odkrywanie kobiecości poprzez budowanie relacji z samą sobą. Nie chodziło o tworzenie kolejnego wzorca tego, jaka kobieta powinna być. Przeciwnie - nazwa projektu miała podkreślać, że kobiecość może mieć wiele różnych odsłon. - Możemy być silne i delikatne. Odważne i przestraszone. Przedsiębiorcze i potrzebujące odpoczynku. Możemy prowadzić firmy, wychowywać dzieci, kochać, odchodzić, zaczynać od początku, zmieniać zdanie. Nie musimy mieścić się w jednym wzorcu - wyjaśnia.



Guba nie mierzy wpływu liczbą osób, które ją znają czy obserwują. Interesuje ją to, co pozostaje w człowieku po spotkaniu - czy lepiej rozumie siebie, dostrzega swój potencjał, przestaje traktować swoją odmienność jak wadę albo odzyskuje możliwość dokonania wyboru, który wcześniej odkładał. Jej spojrzenie na kobiecą siłę z czasem również się zmieniło. Dziś dopuszcza w niej nie tylko walkę i determinację, ale także granice, prośbę o pomoc, zmianę zdania, odejście czy odpuszczenie. To wybór, na co naprawdę warto przeznaczać własną energię. - Czasem siłą jest zawalczyć. Czasem - postawić granicę. Czasem - poprosić o pomoc. Czasem - powiedzieć „nie wiem”. Czasem - zmienić zdanie. Czasem - odejść . A czasami największą siłą jest odpuścić coś, co moglibyśmy jeszcze ciągnąć przez kolejne lata. Dla mnie to jedna z najtrudniejszych lekcji - mówi.

TE PANIE ZAJMUJĄ CZOŁOWE MIEJSCA W GŁOSOWANIU NA WPŁYWOWĄ KOBIETĘ WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO



Maria Świerczyńska, dyrektor Zespołu Szkół Budowlanych, prezes Olimpijczyka Radom, Radom Nominowana za uruchomienie wzorcowego Branżowego Centrum Umiejętności przy Zespole Szkół Budowlanych.



Edyta Krześniak, dziennikarka, autorka książek, Warszawa Nominowana za odwagę, konsekwencję i wyjątkową wrażliwość społeczną w pracy dziennikarskiej.



Wioletta Kotkowska, dyrektor Mazowieckiego Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia, Radom Nominowana za sprawne zarządzanie Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia w Radomiu.



Marta Rodzik, ekspertka ds. wizerunku i public relations oraz szefowa Rodzik Agency PR, Warszawa Nominowana za skuteczne budowanie silnych marek osobistych w polskim biznesie i mediach.



Klaudia Węcław, policjantka, WarszawaNominowana za łączenie pracy w policji z sukcesami w konkursach Miss (tytuł II Wicemiss Polski 2026).

eprasa.pl 5b705b0441

PUPIL ROKU 2026

Zobaczcie tych, którzy zawsze poprawiają humor

Nic nie cieszy tak bardzo, jak widok merdającego ogona, mokrego noska czy uszu, które na dźwięk znajomego głosu od razu stają na baczność. Zwierzęta potrafią zdobyć nasze serca jednym spojrzeniem, zabawną miną albo po prostu swoją obecnością. To właśnie takie zwierzaki spoglądają na nas z poniższych fotografii. ci wyjątkowi uczestnicy akcji Pupil Roku 2026 to aktualni liderzy głosowania w trzech kategoriach. Wśród prezentowanych zdjęć znajdziemy zarówno dobrze znane nam psy i koty, jak i inne, nieco bardziej nietypowe, zwierzęta. Każdy z nich ma swój wyjątkowy urok, a wszystkie łączy jedno - zdobyli sympatię Czytelników i znaleźli się w gronie liderów tegorocznej akcji.

Głosowanie w pierwszym etapie potrwa do 2 września. Tego dnia poznamy pupili, którzy wywalczą awans do finału ogólnopolskiego. Tam na najlepszych czekają kolejne emocje, rywalizacja o ogólnopolski tytuł oraz atrakcyjne nagrody, w tym sesje zdjęciowe oraz nagrody finansowe w wysokości 5000 złotych.

Najlepsi uczestnicy akcji będą mieli również szansę znaleźć się na kartach albumu „Nasze Pupile", który będzie redakcyjnym zwieńczeniem tegorocznej akcji. - W tej wyjątkowej publikacji zaprezentujemy zwycięzców ze wszystkich województw w Polsce, zwierzaki, które swoją historią, charakterem lub jednym wyjątkowym spojrzeniem szczególnie zwróciły uwagę Czytelników. W dzisiejszej galerii natomiast prezentujemy małych towarzyszy, którzy pocieszają nas w gorsze dni, cieszą się z naszego powrotu, pilnują porządku, a czasem po prostu wtulają się w nas bez żadnego powodu - mówi Katarzyna Adamczyk, która odpowiada za redakcyjną stronę akcji Pupil Roku 2026. A teraz zapraszamy do obejrzenia galerii. Zobaczcie, kto tym razem spogląda na nas ze zdjęć i kto prowadzi w walce o tytuł Pupila Roku 2026! Więcej o akcji na: **polskanews.pl/pupil**

KATEGORIA PSY



1. Kama, Warszawa



2. Hiatus, powiat wyszkowski



3. Snapi, powiat zwoleński



4. Bella, powiat żuromiński



5. Bakuś, powiat przasnyski



6. Hebe, Ostrołęka



7. Elza, Radom



8. Hachi, powiat radomski



9. Farisa, Płock



10. Stefan, powiat żyrardowski

KATEGORIA KOTY



1. Kenia, Warszawa



2. Mała Mi, powiat garwoliński



3. Fredka, powiat sokołowski



4. Leo, powiat legionowski



5. Fruzia, Ostrołęka



6. Brawurka, Radom



7. Aramis i Atos, Płock



8. Malwinka, powiat pruszkowski



9. Stasiek, powiat lipski



10. Michalina Miśka, powiat przysuski

KATEGORIA INNE ZWIERZAKI



1. Lola



2. Maui



3. Toudi



4. Lolek



5. Karmelek



6. Mari



7. Oskar



8. Chmurka



9. Stefan



10. Daisy

eprasa.pl 5b705b0441

WARSZAWA

Legenda powstania spocznie na warszawskim Cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim

Maciej Koprowicz

Pogrzeb Wandy Traczyk-Stawskiej odbędzie się w poniedziałek, 31 sierpnia. Wcześniej o godzinie 13.30 odprawiona zostanie msza św. w kościele św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu 3.

Wanda Traczyk-Stawska - uczestniczka Powstania Warszawskiego, psycholożka i nauczycielka, działaczka społeczna odeszła 18 sierpnia w wieku 99 lat. Była jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci środowiska powstańców warszawskich.

O terminie i miejscu pogrzebu Wandy Traczyk-Stawskiej poinformował Marek Michalak, kanclerz kapituły Międzynarodowego Orderu Uśmiechu. Msza św. pogrzebowa odbędzie się w poniedziałek, 31 sierpnia godzinie 13.30 w kościele św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu 3. Po mszy nastąpi odprowadzenie zmarłej do grobu na Cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim przy ulicy Młynarskiej 54/56/58 na Woli.

Wanda Traczyk-Stawska urodziła się 7 kwietnia 1927 w Warszawie. Jako łączniczka i strzelec wzięła udział w Powstaniu Warszawskim 1944 roku.

W Szarych Szeregach i Armii Krajowej nosiła pseudonimy „Atma" i „Pączek".

Po II wojnie światowej ukończyła studia psychologiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Pracowała w szkołach specjalnych dla dzieci z niepełnosprawnościami.

Pani Wanda zasłynęła jako działaczka środowiska żyjących powstańców warszawskich (m.in. kierowała Społecznym Komitetem ds. Cmentarza Powstańców Warszawy), ale też osoba zabierająca głos w sprawach praw człowieka, praw kobiet oraz wartości demokratycznych.

Atrakcja nie wytrzymała nawet miesiąca. Szybki remont na Złotej.

Nowe oblicze ulicy Złotej w ścisłym centrum Warszawy zachwyca turystów. Szczególnie jeden element jej wystroju cieszy się ogromną popularnością zwiedzających. Niestety, coś za coś - wydeptano trawnik i pojawiły się kałuże

Maciej Koprowicz



FOT. ALEKSY WITWICKI

Naprawa fontanny z mgiełką

Nowe oblicze ulicy Złotej w ścisłym centrum Warszawy zachwyca turystów. Szczególnie jeden element jej wystroju cieszy się ogromną popularnością zwiedzających.

Niestety, coś za coś - ceną za wzmożony ruch w tym miejscu jest wydeptanie trawników. „Jak na murawie stadionu Legii" - przyznaje Zarząd Dróg Miejskich.

Ponadto po obfitych deszczach uformowały się wielkie kałuże. ZDM pracuje właśnie nad rozwiązaniem tego problemu.

Złota zachwyca. Ale są niedociągnięcia

Deptak na przebudowanej gruntownie ulicy Złotej został uroczyście otwarty w poniedziałek, 3 sierpnia. W ciągu ulicy, w jej środkowej części pojawiła się też imponująca kamienna fontanna, której wodotryski wytwarzają wodną mgiełkę. W upalne dni staje się ona oazą, do której garną się spacerowicze.

Wokół fontanny nasadzono trawnik. Teoretycznie do przechodzenia do wodotrysku służą wkopane w ziemię kamienne płyty, ale i tak trawa w ciągu kilkunastu dni została wydeptana głównie z powodu dużej liczby osób, które odwiedzały to miejsce.

- Z atrakcji na ul. Złotej codziennie korzystają tysiące odwiedzających. To oczywiste, że przy takim natężeniu trawniki mogą nie wyglądać cały czas idealnie - przyznaje odpowiedzialny za obiekt Zarząd Dróg Miejskich. - To tak jakby na murawie stadionu Legii codziennie rozgrywano mecz od rana do wieczora. Widać to zwłaszcza w rejonie fontanny „z mgiełką" w centralnym punkcie ulicy, którą szczególnie upodobali sobie najmłodsi.

W dodatku w wyniku deszczowych dni, jakich ostatnio doświadczyliśmy w Warszawie, instalacja nie nadąża z drenażem. Wokół fontanny wytworzyło się błoto i pojawiły się kałuże.

Drogowcy założą dodatkowy drenaż

Zarząd Dróg Miejskich nie zbył tematu milczeniem. W mediach społecznościowych zapewnił, że trawa wokół fontanny jest cały czas na bieżąco dosiewana.

- Bardzo nas cieszy, że na nowej ul. Złotej każdy może znaleźć coś dla siebie. Więc tym bardziej zależy nam, by była w jak najlepszym stanie. Dlatego trzymamy rękę na pulsie i na bieżąco dosiewamy trawę w miejscach, gdzie została wydeptana.

W poniedziałek, 24 sierpnia pracownicy firmy Skanska, wykonawcy inwestycji, zajęli się też niewydolnym odpływem wody. W godzinach rannych rozpoczęła się instalacja dodatkowego drenażu.

- Postanowiliśmy też wdrożyć kilka usprawnień przy samej fontannie. Dzięki temu poprawimy odpływ wody i nie będą już powstawać takie kałuże - oznajmił ZDM w mediach społecznościowych.

Niestety, konsekwencją prowadzonych prac jest tymczasowe zamknięcie fontanny.

Do weekendu fontanna „z mgiełką" będzie nieczynna i odgrodzona.

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 www.danaustronie.pl

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Zdrowie

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato Pobyty lecznicze i wypoczynkowe w promocyjnych cenach. Zadzwoń już dziś: 41-378-19-48 lub 696 -958- 319 www.santo.com.pl

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/ tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń. **Bez wychodzenia z domu.**

ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl 5b705b0441

PIŁKA NOŻNA

Liga Mistrzów bez polskiego klubu, z nielicznymi Polakami

Jacek Czaplewski

Szesnaście krajów wystawi przynajmniej po jednym zespole w Lidze Mistrzów. Znajdą się w niej przedstawiciele Azerbejdżanu, Norwegii oraz Słowacji, nie wspominając o Austrii, Czechach czy Grecji. Polski w tym gronie znowu nie ma.



FOT. OLIVIER CHASSIGNOLE/AFP/EAST NEWS

Fenerbahce Stambuł, które wyeliminowało Górnika Zabrze pokonało też Olympique Lyon i zagra w fazie zasadniczej Ligi Mistrzów

W trwającej edycji zadebiutują cztery zespoły. Pierwszy raz wystąpią austriacki LASK Linz czy włoskie Como, które dostało się nie dzięki kwalifikacjom, lecz zajęciu czwartego miejsca w Serie A. Najbardziej zaskoczyli natomiast mistrzowie Azerbejdżanu i Norwegii, którzy musieli przebrnąć przez wszystkie cztery rundy eliminacyjne. Istniejący od zaledwie dziewięciu lat Sabah Baku z Tymoteuszem Puchaczem w składzie (i kilkoma obcokrajowcami znalezionymi na niższych szczeblach) w decydującym dwumeczu wyeliminował po dogrywce izraelski Hapoel Beer Szewa. W rewanżu świetnie wypadł też Vikingur FK Stavanger z dziewięcioma Norwegami w jedenastce, wyrzucając za burtę faworyzowane Dinamo Zagrzeb z Chorwacji. A więc się da – nie tylko dzięki potężnym nakładom finansowym, ale i pomysłowi czy sumiennej, codziennej pracy. Za wzór w tym względzie możemy stawiać jeszcze słowackiego Slovana Bratysława, wracającego zaledwie po rocznej przerwie. Cegiełkę do sukcesu dołożył były pomocnik Śląska Wrocław Peter Pokorny.

Polska, niestety, dziesiąty rok z rzędu w Lidze Mistrzów nie będzie mieć swojego zespołu. Lech Poznań skompromitował się już w II rundzie, trwoniąc u siebie trzy bramki zaliczki z duńskim Aarhus. Z kolei Górnik Zabrze na tym samym etapie musiał uznać wyższość tureckiego Fenerbahce, który awansował do rozgrywek, wygrywając w decydującym meczu z francuskim Olympique Lyon, i to na wyjeździe. Przyszły rok może okazać się jednak dla nas przełomowy. Nasz mistrz zacznie w końcu od razu od czwartej rundy, mając za rywala drużynę o zbliżonym potencjale.

Póki co pozostaje nam emocjonować się występami Polaków. W tegorocznej Lidze Mistrzów szansę na grę ma maksymalnie osiemnastu naszych rodaków. Kto będzie brylować zamiast Roberta Lewandowskiego? Otóż o zdobyciu trofeum realnie mogą myśleć tylko Piotr Zieliński (Inter Mediolan) i Wojciech Szczęsny (FC Barcelona). Namieszać chce z pewnością nasze trio z Portugalii, czyli Jan Bednarek, Jakub Kiwior i Oskar Pietuszewski (FC Porto). Głośno powinno zrobić się też za sprawą Matty'ego Casha (Aston Villa), Maika Nawrockiego i Michała Skórasia (Lens) czy Oskara Kubiaka oraz Wiktora Nowaka (Slavia Praga).

Lista drużyn z poszczególnych krajów w Lidze Mistrzów: Anglia (5) – Arsenal Londyn, Aston Villa, Liverpool, Manchester City, Manchester United. Hiszpania (5) – Atletico Madryt, FC Barcelona, Real Betis Sewilla, Real Madryt, Villarreal. Niemcy (4) – Bayern Monachium, Borussia Dortmund, RB Lipsk, VfB Stuttgart. Włochy (4) – AS Roma, Como, Inter Mediolan, Napoli. Francja (3) – Lens, Lille, PSG. Holandia (2) – Feyenoord Rotterdam, PSV Eindhoven. Norwegia (2) – Bodo/Glimt, Viking FK Stavanger. Portugalia (2) – FC Porto, Sporting Lizbona. Turcja (2) – Fenerbahce Stambuł, Galatasaray Stambuł. Austria (1) – LASK Linz. Azerbejdżan (1) – Sabah Baku. Belgia (1) – Club Brugge. Czechy (1) – Slavia Praga. Grecja (1) – AEK Ateny. Słowacja (1) – Slovan Bratysława. Ukraina (1) – Szachtar Donieck.

KAJAKARSTWO

Świat kajaków walczy o medale mistrzostw globu na Malcie w Poznaniu

Jacek Kmiecik

Ponad 850 zawodników z 79 krajów, medaliści olimpijscy oraz 5 dni rywalizacji na najwyższym poziomie – w środę na torze regatowym Malta w Poznaniu rozpoczęły się mistrzostwa świata w sprincie kajakowym i parakajakarstwie.



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Mistrzostwa w kajakowym sprincie potrwają do niedzieli

Poznań po raz czwarty jest gospodarzem najważniejszych zawodów kajakarskich na świecie. Wcześniej mistrzostwa tej rangi odbyły się w stolicy Wielkopolski w 1990, 2001 i 2010 roku. Tor Malta od lat znajduje się w gronie najważniejszych obiektów na międzynarodowej mapie kajakarstwa, regularnie goszcząc także zawody Pucharu Świata. – Uczestniczyłem we wszystkich poprzednich edycjach, za każdym razem w innej roli. Wierzę, że tegoroczne mistrzostwa będą niezapomniane, a poziom organizacji i przygotowane atrakcje mogą okazać się przełomowe w historii światowego kajakarstwa – mówi Grzegorz Kotowicz, prezes Polskiego Związku Kajakowego.

Mistrzostwa będą jednym z najważniejszych sprawdzianów na półmetku drogi do igrzysk olimpijskich 2028 w Los Angeles. Duże nadzieje na sukcesy mają Biało-Czerwoni. Prezes PZKaj. nie chce nakładać na reprezentantów dodatkowej presji, ale przyznaje, że najmocniejszym punktem polskiej kadry powinna być grupa kobiet.

– Życzę wszystkim medali, najlepiej złotych. Największe nadzieje wiążemy z kobiecą reprezentacją, ale liczę, że każdy da z siebie wszystko. Chciałbym też, aby medale zdobyli zawodnicy, na których dzisiaj nie wszyscy jeszcze liczą. Taki sukces może otworzyć im drogę do igrzysk olimpijskich w Los Angeles – twierdzi Kotowicz.

Jedną z polskich nadziei będzie Martyna Klatt, która przed rokiem wywalczyła złoto w konkurencji K2 500 metrów wspólnie z Anną Puławską. Reprezentantka Polski podkreśla, że przygotowania przebiegły bez problemów zdrowotnych, a wcześniejsze starty potwierdziły, że ona i jej koleżanki mogą pływać szybciej niż w poprzednim sezonie.

– Chcemy uplasować się jak najwyżej. Nie mamy wpływu na przygotowanie rywalek, dlatego skupiamy się na tym, aby popłynąć swój wyścig tak szybko, jak potrafimy. Czujemy się świetnie i z optymizmem czekamy na start – zapewnia Klatt. – Poznański tor jest najlepszym tego typu obiektem w Polsce i został znakomicie przygotowany do zawodów tej rangi. Podczas wyścigu na pewno usłyszymy polskich kibiców. Liczymy, że ich doping poniesie nas na swojej fali aż do mety.

ŻUŻEL

W sobotę Polacy będą bronili tytułu drużynowych mistrzów świata

Jacek Kmiecik

Na PGE Narodowym w Warszawie żużlowa reprezentacja Polski będzie walczyła o czwarte z rzędu zwycięstwo w Drużynowym Pucharze Świata.



FOT. EKSTRALIGA.PL/ZUZANNA KLOSKOWSKA

Polscy żużlowcy chcą w sobotę odczarować PGE Narodowy

Trener kadry Stanisław Chomski powołał na finał czterech uczestników indywidualnych mistrzostw świata: Bartosza Zmarzlika, Dominika Kuberę, Patryka Dudka i Kacpra Worynę oraz Macieja Janowskiego, który niedawno po raz czwarty został mistrzem Polski.

– Jedziemy tylko po złoto – zapewnił Chomski na wcześniejszej prezentacji kadry.

Jest to bardzo realne, tym bardziej że najgroźniejsi rywale są osłabieni. Z powodu kontuzji nie będą mogli wystąpić Brytyjczyk Daniel Bewley i Australijczyk Jack Holder.

Polacy jako gospodarze byli zwolnieni z udziału w eliminacjach, podobnie jak zwycięzcy ubiegłorocznych zawodów Speedway of Nations – Australijczycy. Zgodnie z oczekiwaniami z półfinałów awansowali Brytyjczycy i Duńczycy.

Biało-Czerwoni liczą na to, że w końcu uda im się „odczarować" PGE Narodowy. Odbyło się tu dotąd dziewięć turniejów Grand Prix, ale jeszcze nigdy nie udało się tu triumfować gospodarzom, nawet zdobywającemu seryjnie tytuły indywidualnego mistrza świata Zmarzlikowi. Za to w ostatnich latach na listę zwycięzców wpisało się trzech Australijczyków: Holder, Jason Doyle i Max Fricke.

eprasa.pl 5b705b0441

obuwie młodzieżowe
ostra przyprawa do mięsa
złoto Bałtyku
atrybut aktora
szefowa, przełożona
prawa lub lewa
pazucha
silne uczucie niepokoju
sklep z antykami
udzielany uchodźcy
film Pasikowskiego
styczniowy solenizant
matka Achillesa
synowie i córki
Jan, polski malarz
rodzaj damskiej bluzki
kontroler z komedii Gogola
ryba o spłaszczonym ciele
imię Andrycz, aktorki
pochyłe zbocze wykopu
logiczne znaczenie czegoś
sułtański minister
egipskie bóstwo Księżyca
śpiewający ptak
łąkowe żniwa
surowa lub negatywna ocena
gruby sznur
żartowniś
islamska Biblia
ojczyzna Asteriksa
suchy w stoczni
model Opla
sznurek dla boksera
długa żerdź
znak, przepowiednia
np. „Noc listopadowa”
niby-gwiazda
szereg szybkich strzałów z karabinu
część osobowości
najwyższy szczyt Krety
przegląd wojsk z defiladą
Panda lub Uno
dopływ Prypeci
daleko od Rzymu
Janek z „Rudego”
zaloty cietrzewi
srebrzysty metal o symbolu Y
gorący napój alkoholowy
prawy dopływ Narwi
każdy na wagę złota
dentystyczne urządzenie
plakat reklamowy
ministerialna ostatnia - ratunku
ciasto z bakaliami
produkt, dzieło
drapieżna muchówka
składnik benzyny
dawna uraza
początek skali
grecka bogini niezgody
męskie imię palindrom
wzwyż i w dal
żyzne gleby
próg w dolinie rzecznej
autor powieści
grecki Mars
delfin z Amazonki
Cezary, aktor z serialu „Ranczo”
włoska promenada
umowa międzynarodowa
jamnik dawniej
rzeczna łódź
krążek jałowcowej
sala wykładowa
kuzyn kszyka
rzeka w Ameryce Południowej
płynie przez Kościan
nocny ptak
siedzi na grzędzie
na końcu zdania
jedno z rzymskich wzgórz
wiekowy mebel
przyprawa korzenna
roślina zbożowa
Wojciech, polski malarz
producent goudy
wiele, wiele lat
„Hrabina” lub „Flis”
grecki wojownik spod Troi
nakłanianie do zgody
syn Rozbójnika Rumcajsa
sługa królowej
trzeźwiące
narzuta na tapczan
drzewo melonowe
budowla obronna, rondel
atrybut furmana
krzew ozdobny
orzechowa do tortu
dopływ Wołgi
wisi w ramce
talon towarowy
wyprawa wojenna
Bikini na Pacyfiku
urządza koncert
uliczny zator
robot kuchenny
kosmetyk dla oseska
stan zachwytu
na dwoje wróżyła
bije wszystkie kolory
„... marymoncka”, powieść Hłaski
czeski autobus
Mel, reżyser „Płonących siodeł”
bankowy skarbiec
imię pani Dulskiej
druga litera greckiego alfabetu
jadalny skorupiak morski
tkanina na suknie
projekt, zamysł
smar maszynowy
choroba jak pasza
miasto na Uralu
niemieckie miasto nad Soławą
metropolia Azerbejdżanu
ustalony termin
nocne widziadło
imię filmowego karierowicza
muzyka Nowego Orleanu
szef juhasów
resztka materiału
żaba lub traszka
wśród sztuć-ców
przystanek dla karawany
powieść Emila Zoli
czapka francuskiego wojaka
osoba przy urnie
paryski chuligan
wydra morska
stolica Grenlandii
stolica Ghany
babka Jakuba i Ezawa

AUTOPROMOCJA 0310987243

Twoja gazeta w prenumeracie z Tele Magazynem

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą rozwiązanie: myśl Urszuli Zybury.

ROZWIĄZANIE: NAJWIĘKSZY WSTYD, GDY GO NIE MA.

SŁOWNIK: ANSA, BROOKS, IDI, KAŁAN, NUUK, ORSK, STYR, UNIT.

eprasa.pl 5b705b0441